Nr. 61. Lwów — Czwartek dnia 14 Marca. Rok 1901.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 8 po południu z datą dnia następnego.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i Austryi miesięcz. 2 k. 20 h.
w Niemczech . . . . . 3 „ — „
w innych Państwach . . 4 „ — „
Za zmianę adresu dopłaca się 40 „
Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu
Prenumerata we Lwowie miesięcznie 2 k.
Numer kosztuje we Lwowie . . 8 h.
na prowincyi . . . . 12 h.
Numera z poprzednich dni po 20 h.

Wszelkie DONIESIENIA PRYWATNE o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, opisy uczt i zabaw prywatnych, reklamy dla balów, rautów i koncertów, spisy składek, doniesienia o zgubach, znalezionych przedmiotach i t. d. po 1 k. od wiersza.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

OGŁOSZENIA I PRZEDPŁATĘ MIEJSCOWĄ przyjmuje wyłącznie: Agencya dzienników Sokołowskiego we Lwowie Pasaż Hausmana l. 9

Ceny ogłoszeń:
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
wiersz petitowy albo jego miejsce 20 h.
W drobnych ogłoszeniach:
tłustym petitem za każde słowo 4 h.
tłustym garmondem „ „ 6 h.
koresp. prywatne „ „ 8 h.
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia: wiersz petitowy albo jego miejsce 60 h.
Reklamy po kronice wiersz petit 1 k.
Ogłoszenia na czele pisma na pierwszej stronicy wiersz petitowy . . . . 60 h.

Dziś: śr. św. Matyldy P. | 1 Marta Jewdoki
Jutro: czw. św. Longina M. | Fteodota

Adres Redakcyi i Administracyi: **Lwów. ul. Sykstuska l. 45.**

Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.**

Wschód słońca o g. 6 m. 28
Zachód „ „ 5 m. 57

Długość dnia godzin 11 minut 34
Przybyło dnia od wczoraj 3 min.

15-lecie komisyi kolonizacyjnej.

Dzielnie, wytrwale, często ogromnie silnie walczą Wielkopolanie z germańskim niezmiernym nawałem! Wszystko się w Prusach przeciw nim sprzysięgło: rząd i ustawy, naród niemiecki i stosunki ekonomiczne, cała energia pierwszorzędnej militarnej potęgi i cała zawziętość pięćdziesięcio-milionowej gromady, która idzie na nich z niemilknącym na ustach okrzykiem: „wytępić!" — a oni stoją jako mur, zaciskają zęby i walczą; czoła ich zlane krwawym potem, zmachane omdlewają ramiona, nieraz ostatnia ogarnia ich rozpacz i wtedy na chwilę zwieszają utrudzone głowy, lecz wnet znowu duch bohaterski wstępuje w nich, milkną swary — pierwsza oznaka zwątpienia — walczą i nie ustępują. I tak trwa już rok dwudziesty, jeśli za pierwszy uważać ten, w którym Bismark począł walić protestanckim młotem w Kościół, a piętnasty od początku wielkiej wojny z polskością. Podziwia świat wytrwałość Boerów, którzy ośmnaście miesięcy borykają się z angielską potęgą i nikt z nas nie ujmuje im bohaterstwa, ale czem-że jest ich hart przy harcie Wielkopolan!

Lecz, niestety, w polskim okopie jest już wyłom — i on się wciąż rozszerza. Zrobiła go komisya kolonizacyjna; z razu robiła go sama, a potem wspólnie z komisyą rentową i bankiem hakaty. Nigdzie indziej: ani w szkole i domu, ani w kościele, lecz tu jedyne Prusaków powodzenie. Czy zapowiedź ich zwycięstwa?— nie wiemy i przypuszczać nie chcemy; ale tu powód do wątpienia o naszem zwycięstwie.

Zaraz w pierwszym roku utworzenia komisyi kolonizacyjnej, w pierwszem półroczu swej działalności, nabyła ona 11.748 hektarów polskiej ziemi; w następnym roku powiększyła swój łup o 14.825 hektarów. Ale — mówiono wtedy — ten atak zastał nas nieprzygotowanych, a nadto powodzenie jego było następstwem dawnych ekonomicznych błędów. Komisya odrazu zżęła to, co przedtem przez długie lata podstępnie zasiewały pruskie landschafty, oprócz tego zaś giełdowy agent „żelaznego kanclerza" Bleichröder nakazał wszystkim Szajlokom razem wypowiedzieć kredyt polskim ziemianom, więc ich posiadłości musiały pójść na licytacyę. Tak mówiono i powszechnie było przekonanie, że ten stan rzeczy zapewni komisyi kolonizacyjnej będzie ostatnim. Lecz nadzieja okazała się złudną. Później było jeszcze gorzej, bo znaleźli się tacy, którzy bez przymusu licytacyjnego, całkiem dobrowolnie, nie mając noża na gardle, z błahych powodów, sprzedawali się, a z biegiem lat tylu się ich namnożyło, że tylko w wyjątkowych wypadkach komisya potrzebowała stawać do licytacyi. Stawianie tych osób pod pręgierzem opinii publicznej nie zdało się na nic, bo oto w ostatnim roku 1900-ym ofiarowało swą ziemię komisyi 66-ciu właścicieli dóbr i 65-ciu właścicieli zagród. Doznano jeszcze innego rozczarowania. Święcie wierzono, że chłop nie sprzeda ziemi, raczej życie odda i dlatego stawiano go za wzór folwarcznym ziemianom. Lecz chłop bardzo często ofiarowywał swe posiadłości na sprzedaż, a że komisya nabyła przez lat 15 tylko 2639 hektarów takiej ziemi, a nie znacznie więcej, to jeno dlatego, że takie jedynie zagrody kupowała, które wchodziły klinem w zakupiony folwarczny obszar. Oprócz tych rozczarowań zakosztowaliśmy jeszcze tej hańby, że się między nami znaleźli tacy, którzy kupowali niby dla siebie, w rzeczywistości jednak po to, aby zaraz odsprzedać komisyi i na tem zarobić. Zaiste, te cyfry przedstawiają bardzo ciemne strony walki polskiej z germańską nawałą.

Komisya ogłosiła teraz sprawozdanie ze swej działalności w ciągu całych lat piętnastu. Zobaczmy więc, co zrobiła.

Nabytek jej wynosi 147.474 hektarów, z których na folwarki przypada 144.825, a na zagrody włościańskie 2639 hektarów. Za pierwsze ogółem zapłacono 97,821.284, a za drugie 2,366.574, razem tedy 100,187.858 marek. Średnia cena hektara wynosi 679 marek, lecz dawniej była ona znacznie mniejsza, a dopiero w roku 1899 podniosła się do 824 marok, w 1900-ym zaś spadła do 814-stu. Nie cały zakupiony obszar był polską własnością. Po kilku latach istnienia komisyi zaczęli się domagać niemieccy ziemianie, aby kupowano i od nich, grożąc, że będą sprzedawali Polakom. Więc spełniono ich życzenie i dzięki temu nacisk komisyi na polskie folwarki znacznie się zmniejszył. Z podanego wyżej obszaru zakupionej przez komisyę ziemi (147.474 hkt.) pochodzi od Niemców 64.440, a od Polaków 83.035 hektarów, lecz przez to strata narodowa i ekonomiczna nie jest dla nas mniejsza, bo ziemia od Niemca do Polaka zawsze przejść mogła, a kolonista niemiecki nie ma prawa sprzedać jej Polakowi, ani sam, ani żaden jego następca, oprócz zaś tego Niemiec właściciel folwarku zatrudniał u siebie Polaków, których nie wolno przyjmować na służbę ani kolonistom niemieckim, ani rządzcom folwarków komisyi kolonizacyjnej. Tem się tłómaczy ogromne wychodźtwo polskiego ludu.

Cały rolny obszar Poznańskiego wynosi 2,895.770 hektarów, a Prus Zachodnich 2,550.874. To więc, co komisya nabyła, stanowi w pierwszej z tych prowincyi 3·64%, a w prowincyi drugiej tylko 1·65% całości. Stąd arytmetyczny wniosek, że przy takim samym, jak teraz impecie, komisya potrzebuje lat 450-ciu na wykupienie wszystkiej polskiej ziemi, której więcej niż połowa w obu tych prowincyach. Komisya osiedliła 4277 kolonistów, czyli razem z ich rodzinami, około 30.000 osób. A ponieważ ludności polskiej jest prawie 3 miliony, więc znowu arytmetyczny wniosek, że na wyrugowanie jej wszystkiej potrzeba tysiąca lat. Ale takie arytmetyczne wnioski nie powinny nikogo pocieszać, bo istniejąca jeszcze przewaga ekonomiczna, przewaga będzie złamana po kilkudziesięciu latach, a potem już zostaną tylko niedobitki coraz słabsze i mniejsze, aż na końcu takie, jakie dotąd od Łużyczan się zachowały gdzieś nad Łabą. Wszakże pamiętajmy, że wszystko to nie zmieniło przez komisyę Niemcy, lecz się, że szybko rozmnożą się, jeżeli już przedtem sprowadzeni, bo są zasobni, dobrze utuczeni, a wszędzie popierani przez rząd i cały naród niemiecki.

Otóż na ten wyłom w polskim okopie trzeba zwrócić najbaczniejszą uwagę. Hakatyzm pocztowy, wojskowy, szkolny, prasowy, nam złego nie zrobią; owszem, każdy z nich z osobna i wszystkie razem wzmocnią narodowe uczucie i świadomość narodową podniosą do najwyższego szczebla. Lecz na co to wszystko zda, jeżeli utracimy ziemię!

Chiny, Rosya i mocarstwa.

Przeciw odrębnemu układowi rosyjsko-chińskiemu oświadczyły się już urzędowo wszystkie mocarstwa, zainteresowane w sprawie chińskiej, z wyjątkiem Francyi; wszystkie urzędownie oznajmiły, że nie zezwolą na odrębny układ. Ale czem więcej hałasu, tem mniej rzeczywistego oporu, bo w istocie nie ma sposobu, któremby można było stanowczo przeszkodzić Rosyi w Mandżuryi. Słusznie też notuje *Norddeutsche Allg. Ztg.* zdanie, wrzekomo wyrzeczone w Petersburgu przez któregoś rosyjskiego dyplomatę: „To, co mocarstwa robią, nic nas nie obchodzi. Jeżeli one zmuszą Chiny do odmówienia nam podpisu na układzie, zostaniemy w Mandżuryi bez układu. Tem gorzej dla Chin! Dodać jednak muszę, że my tej prowincyi nie myślimy brać na zawsze. Postąpimy inaczej, niż Anglia z Egiptem". Podobno angielski ambasador w Petersburgu doniósł swemu rządowi, że hr. Lambsdorf zapewnił go o bezinteresowności rosyjskiej. Nie chodzi o zabory — mówił rosyjski minister — lecz o rękojmię porządku i bezpieczeństwa, a nadto o koncesye kolejowe i górnicze. Rosya nikomu nie przeszkadza dobijać się tego samego w innych stronach Chin. Od żądania swego, aby Pekin był połączony rosyjską koleją ze środkową Syberyą, mianowicie z Kiachty przez Mongolię, rząd petersburski nie może odstąpić, lecz jedynie z powodów handlowych. Niepotrzebnie mocarstwa traktują tę sprawę jako będącą w związku z interesem, który one mają do załatwienia z Chinami. Jedno z drugiem nie ma nic wspólnego. Rosya nie wojowała z Chinami, więc może z niemi zawierać samoistnie wszelkie układy.

Tak, wedle doniesienia *Timesa*, miał mówić hr. Lambsdorf angielskiemu ambasadorowi i to w gruncie rzeczy zupełnie się zgadza z tym energicznym, a znanym z telegramów naciskiem, jaki Rosya wywiera teraz na Chiny. Jednak jedno ustępstwo zrobił mocarstwom rząd petersburski, mianowicie z układu swego z Chinami usunął warunek, iż bogdychan ma prawo angażować tylko rosyjskich oficerów na instruktorów armii chińskiej. Zmieniono ów warunek tak, że tylko garnizony, rozlokowane w prowincyach graniczących z Rosyą, nie mogą posiadać innych instruktorów, jak tylko rosyjskich.

Odznaczenie p. Jaworskiego.

Piszą nam z Wiednia, 12 marca:

Nadania wysokiego orderu prezesowi Jaworskiemu niepodobna tłómaczyć podeszłym jego wiekiem lub okolicznością, że świeżo przebył niebezpieczną chorobę. Sprzeciwiałoby się to wszelkim prawidłom logiki. Choroba i podeszły wiek nie tworzą nigdy prawa do odznaczenia. Nowy dowód szczególnej łaski cesarskiej, którego dostąpił p. Jaworski, ma wybitną cechę polityczną. Obdarzając prezesa Koła polskiego jednym z najwyższych orderów, Cesarz ponownie i równie głośno wypowiada to samo, co wyraził w przemowie do marszałka krajowego 13 września r. z. w Jaśle. Odznaczenie to stanowi ponowne uznanie wytrawnej i uczciwej polityki delegacyi galicyjskiej, która umie zawsze łączyć troskę o potrzeby i prawa kraju z dbałością o interes monarchii, wierność dla narodu z wiernością dla Tronu. Od owej przemowy Cesarza w Jaśle minęło 6 miesięcy, które w nowoczesnych dziejach Austryi stanowią zwrot niezmiernie doniosły. O ile po najsmutniejszych czasach anarchii parlamentarnej obecnie powraca otucha i wiara w przyszłość, jest to w głównej części zasługą Koła polskiego. Przynajmniej ze stronnictw parlamentarnych żadne nie przyczyniło się tak uczciwie, wytrwale, mądrze i z takiem poświęceniem do uruchomienia parlamentu, jak Koło polskie.

Dowodem uznania tego niewątpliwego faktu jest odznaczenie p. Jaworskiego w chwili, gdy Izba poselska stawia pierwsze kroki na drodze prawidłowej pracy parlamentarnej. W rozpaczliwem przesileniu, które się wywiązało przed 4 laty, p. Jaworski okazał się wodzem Koła polskiego o niepospolitej bystrości politycznej. Utworzoną w r. 1897 prawicę usiłował utrzymać, dopóki to zdawało się rzeczą możliwą, łagodząc zresztą swym wielkim, osobistym wpływem przeciwieństwa. Rozróżniając w słuszny i zgodny z tradycyami Koła polskiego sposób pomiędzy koniecznościami państwowemi, a interesem stronnictw, za rządów hr. Clary'ego starał się gorliwie o załatwienie pierwszych. Jego było zasługą, że wtedy bez przeszkód nastąpił wybór delegacyi. Gdy wreszcie Czesi swą warcholską obstrukcyą uniemożebnili dalszy sojusz z nimi Koła i wszystkich poważnych stronnictw prawicy, prezes Jaworski nie wahał się wygłosić swego: „dotąd, a nie dalej!" i rozwinąć starego, poczciwego sztandaru polityki wolnej ręki. Pomimo gróźb i namów, zabarwionych brutalnemi napaściami na prezesa Jaworskiego, Koło polskie stanęło stanowczo po stronie swego wodza, który po ś. p. Grocholskim odziedziczył najważniejszą dla męża stanu zdolność skupiania około siebie towarzyszy politycznych, napełniania ich zupełnem zaufaniem i otuchą.

Nie ulega wątpliwości, że właśnie polityce wolnej ręki, wygłoszonej przez Koło polskie w czerwcu r. z. i praktykowanej dotąd, zawdzięczamy pomyślny zwrot w stosunkach parlamentarnych. Samodzielne stanowisko Koła polskiego hamuje zbyt gorące zapędy klubu czeskiego, któremu się wydaje, że przy pomocy prawicy może żądać wszystkiego, a zarazem łagodzi opozycyę Niemców, których większość parlamentarna, ulegająca wpływom czeskim, pobudza do ubezwładnienia parlamentu. Dlatego p. Jaworski, wygłaszając w roku zeszłym politykę wolnej ręki i postępując konsekwentnie tą drogą w nowej sesyi, ocalił parlament, o ile on może być ocalony. Uznał to wczoraj Cesarz, odznaczając p. Jaworskiego tak wysokim orderem, uznają to wszyscy bezstronni, a może z czasem zrozumieją to nawet teraźniejsi przeciwnicy polityczni czcigodnego prezesa Koła, gdy w chwili spokojniejszej rozważą, jak wielką byliby sobie sami wyrządzili krzywdę i szkodę, gdyby byli rzeczywiście rozbili Radę państwa!

Koło polskie dziś złoży swemu prezesowi powinszowania z powodu nowego odznaczenia, które wywoła też w całem społeczeństwie naszem radośne echo. „W żadnym narodzie nie jest tak powszechna curiositas (ciekawość) i chciwość quaerere maculas in sole (szukania plam na słońcu), jak w Polakach — powiada autor „Skrupułu bez skrupułu". Jednakże przeważna, zdrowa część narodu już się wyleczyła z tej starej choroby. Wszyscy przeto, z wyjątkiem sporadycznych warchołów, którzy jak papugi powtarzają obce sądy i przesądy, uznają prawdziwe zasługi p. Jaworskiego, który jako prawy i gorliwy Polak umiał zdobyć uczciwą pracą najwyższe zaszczyty w monarchii. Zawsze w kojarzeniu wszystkich żywiołów i prowadzeniu ich do wspólnego celu, widział on swe zadanie prezesa Koła, to też żadne stronnictwo, byle stało na gruncie polskim, nie może w nim widzieć przeciwnika. Prezes Jaworski w potrzebie umiał dobrać energicznych tonów w obronie praw krajowych, jak np. w pamiętnej mowie, w której w maju roku 1890 odparł starocentralistyczne napaści kilku członków Izby panów na Galicyę! Ale wobec swoich, zawsze wierzył w szlachetną regułę: „Atrocitati mansvetudo est remedium" — dzikość leczy się łagodnością! To też, jak powszechny smutek obudziła ostatnia choroba czcigodnego prezesa Koła, tak teraz powszechną radość obudzi zasłużone odznaczenie, którego dostąpił!

Rada państwa.

(Telegramy „Przeglądu").

Wiedeń 13 marca. Pierwsza ze spraw będących na porządku dziennym, została nareszcie w drodze konstytucyjnej załatwiona. Ustawa o kontyngencie rekrutów uchwaloną została wczoraj w drugiem i trzeciem czytaniu. Przebieg debaty wczorajszej był następujący:

P. Daszyński przemawiał przeciw uchwaleniu kontyngentu. Poruszył on w swej mowie między innemi także kwestyę udziału Austro-Węgier w ekspedycyi chińskiej i dowodził, że właściwie monarchia nasza jest obecnie zawikłana w wojnę, a parlament nic o tem nie wie. W dalszym ciągu krytykował mówca ostro postępowanie hr. Waldersee'go w Chinach i nazwał je niegodnem cywilizowanego narodu. Następnie skarżył się p. Daszyński na ciężary militaryzmu, które zdaniem jego nie pozostają w racyonalnym stosunku do wydatków, łożonych na cele kulturalne i podnosił rozmaite nadużycia wojskowości. Usuwać je jest wspólnym obowiązkiem wszystkich posłów. Do nadużyć tych wiedzie w znacznej części przymus pojedynkowy. W zwalczaniu pojedynków socyaliści idą ręka w rękę z klerykałami. Mówca uzasadnia rezolucyę swą, żądając, ażeby członkom armii zakazano nosić broń po za służbą, mówi o sprawie Liebermanna i wytacza ciężkie oskarżenie przeciw interesowanym w tej sprawie oficerom 58 pułku piechoty w Przemyślu. Komendantowi korpusu przemyskiego, jenerałowi broni Galgotzyemu, zarzuca p. Daszyński samowolne postępowanie wobec obywateli i wobec władz cywilnych, zresztą uznaje jego przymioty i zdolności wojskowe. Następnie zarzuca mówca, że żołnierze, podejrzani o należenie do socyalnej demokracyi, stoją pod szczególną kontrolą i ostrzega przed wywoływaniem z socyalizmu ducha anarchizmu. W dalszym ciągu żąda p. Daszyński skrócenia czasu służby prezencyjnej na jeden rok i przedkłada w tym duchu osobną rezolucyę. W końcu raz jeszcze określa stanowisko socyalistów wobec militaryzmu. Na militaryzm, zdaniem mówcy, jest tylko jeden środek skuteczny, a mianowicie powszechne i równe prawo głosowania. Powszechna powinność wojskowa wymaga także powszechnych praw obywatelskich.

Po p. Daszyńskim zabrał głos minister obrony krajowej hr. Welsersheimb i w długiej mowie odpowiadał na zażalenia, podniesione w toku tej debaty. Przedewszystkiem przyznał minister, że szerokie masy ludności, szczególnie rolniczej, które najwięcej odczuwają wszelkie ciężary, zasługują na jak największe uwzględnienie. Zarząd wojskowy liczy się z tem też ile możności. Mówca wskazuje na ułatwienia, zawarte już w ustawie wojskowej, wszelako dalszych ułatwień ustawa ta już nie znosi, przeciwnie potrzebne jest dalsze rozwijanie się armii. Potężny i wspaniałomyślny monarcha (t. z. rosyjski) dał inicyatywę do studyów nad kwestyą rozzbrojenia, dotychczasowe jednak fakta nie wróżą wielkiego powodzenia temu prądowi. Zamiast rozzbrajać się, wszyscy zbroją się w nieskończoność, zbroi się każdy, kto nie chce zaprzepaszczać swych interesów. Tylko ci, którzy stoją na czele zbrojeń, mogą dać początek ich zaniechaniu. Minister przyznaje, że ciężary wojskowe w Austryi są znaczne, jednakże w innych państwach są one większe. Nie militaryzm, ale inne stosunki winny temu, że Austrya nie może się rozwinąć tak, jakby tego pragnąć należało. Mówca nie zaprzecza, że nasz system wojskowy może jeszcze doznać pewnych ulepszeń, i to zostanie uwzględnione przy przyszłem ustanowieniu kontyngentu rekrutów na 10 lat. Niektórzy domagają się zastąpienia armii stałej milicyą, otóż minister na podstawie dat historycznych wykazuje ujemne strony systemu milicyi. Powołuje się przedewszystkiem na Anglię, która

---

37)

KTO ZWYCIĘŻY?

POWIEŚĆ

przez

BLANKĘ HALICKĄ.

(Ciąg dalszy).

Mówiąc to, wyglądał tak szlachetnie i tak uroczyście, że Hani przemknęła myśl, iż jeśli Bóg zechce jej Władka zachować, uczyni to tylko przez ręce tego starca.

Odeszli, obiecując powrócić znów wieczorem, odwiedzić rannego; została sama z nim w ogromnem, wspaniałem mieszkaniu, dziś cichem i ponurem, jak grób.

Nie miała koło siebie nikogo, prócz służby; ze znajomych nie pojawił się nikt.

Może jeszcze nie wiedziano o strasznym wypadku?

Godziny upływały, na dworze szalała zamieć zimowa, tumany śniegu wirowały w powietrzu i z brzękiem dzwoniły o szyby, jak uderzenia niewidzialnych jakichś, kościstych palców, wywołujących duszę umierającego tam daleko, w zaświat tajemniczy.

Nieruchoma, jak posąg z kamienia, i jak głaz też milcząca, siedziała nieszczęśliwa u stóp łóżka, na którem konający, bezprzytomny, leżał jej Władek, jej kochanie, jej szczęście jedyne!

Leżał bez ruchu, tylko twarz miał jakąś dziwnie bolesną, zmienioną cierpieniem; czasem ustami chwytał powietrze lub zajęczał cicho.

Umierał! Nie było nadziei!

Jej Władek! Jej najdroższy! Jedyna miłość, jaką miała w życiu!

On, dziś rano taki jeszcze zdrów i silny, w całej pełni swej dzielnej, męskiej piękności — czyż to być mogło, aby za kilka godzin był już tylko zimnym trupem?

Tyle życia, tyle dzielności i siły, i to wszystko zabite, zmiażdżone w jednej chwili!

On umrze... musi umrzeć, nie było ratunku! Usłyszała to wyraźnie z ust lekarzy, najsławniejszych, jacy byli w mieście, i w bezwzględnym wyroku młodszego, i w pełnych litości słowach siwego staruszka.

Ten z oczyma mądremi a ostremi, jak noże, powiedział, że potrwać to może jeszcze do nocy... najdalej do jutra rana...

— Nie, on nie umrze! Boże, Ty na to nie pozwolisz, nie możesz pozwolić!

Rzuciła się na kolana obok łóżka, i podparłszy obu rękami swą głowę umęczoną, zaczęła błagać o cud rozpaczliwie.

To nie była już modlitwa, lecz straszny, śmiertelny krzyk serca cierpiącego nad ludzkie siły, jeden szalony, dziki jęk boleści.

— Boże, Boże! Litości! Ocal go, lub zabierz mnie z nim razem! O Matko Najświętsza, ratunku wszystkich nieszczęśliwych, daj mi umrzeć, dziś, zaraz, pierwej nim on skona! Ja nie mogę, nie mogę, nie chcę żyć bez niego!

Tłumiła w sobie jęk rozpaczy, by nie zbudzić leżącego cicho rannego, a ręce splecione zacisnęła z taką dziką gwałtownością, że aż paznokcie, wbite w dłonie, pozostawiły na nich krwawe ślady.

Nie była zdolną nawet modlić się w tej chwili, w mózgu jej szumiało, jak wicher, i myśli straszne, bezładne, kłębiły się jak chmury, przelatujące po niebie.

Klęczała tak bez ruchu, bezmyślnie wpatrując się w kwieciste wzory rozesłanego na ziemi dywanu.

Zaczynała liczyć arabeski i kwiaty, i wciąż traciła rachunek, i rozpoczynała na nowo.

Czyżby to już był początek szaleństwa?

Nagle dostrzegła leżący na dywanie niebieski jakiś list.

Automatycznym ruchem podniosła go, rozłożyła i czytać zaczęła, a w miarę czytania oczy jej rozszerzały się coraz bardziej i twarz jak płótno blada nabierała niemal obłąkanego wyrazu.

To był list Laury, który wypadł z kieszeni Władysława, kiedy go po pojedynku przyniesiono omdlałego i rozebrano z ubrania.

Ślepy przypadek odsłonił jej całą prawdę.

Do tej chwili myśl jej nie zatrzymała się jeszcze nad powodem pojedynku; zbyt gwałtownie spadł na nią straszny cios i ogłuszył, jak uderzenie piorunu.

Teraz wiedziała już, że zabójcą jej męża był Limski, którego ręką kierowała Laura, ten potwór w kobiecem ciele... i że za cenę zemsty sprzedała się mordercy...

Odczytywała list parę razy, nie mogąc własnym oczom uwierzyć, nie mogąc jeszcze zrozumieć, jak istnieć mogą na świecie podobne istoty.

Prawdą to jednak było, prawdą, i choć list nie miał podpisu, to było niezaprzeczenie pismo Laury; Hania znała je dobrze z bilecików, zapraszających na bale i obiady.

I gdy zrozumiała, gdy uwierzyła wreszcie, tę cichą, łagodną kobietę porwał nagle taki szał dzikości i zemsty, taka straszna wściekłość zawrzała w jej sercu, że gdyby tamta i ten Limski, jej wspólnik, byli naraz znaleźli się tutaj, w jej mocy, byłaby zabiła oboje bez chwili wahania, jak się zabija psa wściekłego lub jadowitego padalca.

Ból szalony, nieludzki, a z nim poczucie straszliwej, rozdzierającej krzywdy objęły ją jak płomień, jak wicher.

— Zabili mi go, zabili! Boże! jak mogłeś pozwolić na taką zbrodnię! Boże, wołam do Ciebie, ukarz ich, roztrzaskaj piorunem ich występne głowy! Nie zemsty ja już chcę, ale sprawiedliwości! Sprawiedliwości! — jęczała i wyła w jej duszy rozpacz bezmierna.

On umierał! Jej skarb, jej wszystko na świecie! W tej chwili, zapomniała o wszystkich jego winach, nie pamiętała już krzywd dawnych, wiedziała tylko że go kocha i utracić musi.

Gdyby zabrała go jej choroba, lub jakikolwiek wypadek, niezależny od woli człowieka, łatwiej byłoby poddać się, i w tem strasznem nieszczęściu uszanować wolę Boga. Ale tu ludzie zabili go jej, ludzie! I ci mordercy chodzili po świecie wolni, bezkarni — zbrodnia ich nie podlegała żadnemu prawu, żadnej karze!

Zemsty! Zemsty! — szeptały już prawie bezwiednie jej usta.

Wtem doszedł ją z łóżka cichy, słaby głos, wymawiający jej imię.

Władysław oczy miał otwarte i na nią zwrócone, a w tym wzroku był żal i smutek bez granic.

— Haniu... — powtórzył raz jeszcze, a ona zerwała się i niespokojnie pochyliła nad nim.

— Haniu, ja umieram...

— Nie mów, nie mów tego, mój najdroższy! Ty będziesz żył, musisz żyć! Bóg cię uratuje! O Władku, mój Władku!

Drżała cała jak w febrze, i słowa ucinane, przerywane, ledwo wydobywały się z jej piersi.

Nieopisanie smutny uśmiech ukazał się na twarzy rannego.

— Umrę, umrę, czuję to dobrze. Nie ma już dla mnie ratunku... więc póki mam jeszcze dość sił... póki mówić mogę... chciałem powiedzieć ci...

— Cicho, cicho, mój najdroższy, lekarz zabronił ci mówić. Nie męcz się, nie wolno — prosiła, kładąc łagodnie palec na jego ustach.

— Nie uratuje mnie i to... tak czy tak, koniec już ze mną, a póki mam jeszcze przytomność, chciałem błagać cię żebyś mi przebaczyła... Nie mógłbym bez tego skonać spokojnie...

Oddychał coraz ciężej i twarz jego stawała się coraz bledsza.

— Władku, przez litość, przestań.

— Haniu... postąpiłem względem ciebie, jak łotr... i słuszna kara, słuszna... Jest Bóg, i jest sprawiedliwość! A przecież ja nie byłem z gruntu nikczemny... ja widziałem twoją dobroć twoją miłość... i kochałem cię za nie serdecznie. Tylko ta... ta nędznica... opętała mnie, jak zły duch...

Nie miał sił mówić dłużej; głowa jego osunęła się jak martwa na poduszki.

Czyżby to już koniec nadchodził?

Hania, bezradna, stała pochylona nad nim, a serce jej chwilę ustało bić z przerażenia.

Lecz naraz on otworzył znów oczy, i ujrzawszy wylęknioną twarz żony tuż przy sobie, uśmiechnął się do niej smutnie.

— Moja mała! Moje złote, jedyne stworzenie!

Czyniła nadludzkie wysiłki, żeby nie wybuchnąć głośnym płaczem.

— Pięknie zapłaciłem ci za twoje wierne serce, — mówił przerywanym, coraz słabszym głosem. — A jednak... wierz mi Haniu... żeniąc się z tobą, miałem szczery zamiar dać ci szczęście... pogrzebać przeszłość. Ale miłość do tamtej kobiety pozostała we mnie... jak trucizna... jak jad. Gdym spotkał ją znowu... zapomniałem... o wszystkiem!... Przekonałem się dziś... jaka ona nikczemna, ale zapóźno już... zapóźno... Zmarnowałem ci życie... ta myśl... jest najstraszniejsza... ta myśl... nawet w grobie nie da mi spokoju... (C. d. n).

na podstawie doświadczeń, zebranych w wojnie południowo-afrykańskiej, przystępuje obecnie do wzmocnienia stałej armii. Czegoś lepszego nad to, co mamy, nie stworzyłaby milicya, bo nasi żołnierze należą do najlepszych na świecie, uznali to nawet nasi najwięksi przeciwnicy.

W odpowiedzi na zażalenia niektórych mówców oświadcza minister, że jest wolą Cesarza, aby panował w armii porządek i karność. Co do poruszonych w Izbie wypadków nadużycia broni przez oficerów w Trydencie i Leoben oświadcza minister, że oficerowie, którzy w tych wypadkach zawinili, ukarani zostali ciężkiem więzieniem i wykluczeniem z armii. Co do stanowiska swego do socyalistów, podnosi mówca, że pragnie, aby robotnicy byli również dzielnymi żołnierzami i bynajmniej nie chce się zrzekać tych inteligentnych, fizycznie i moralnie dobrze rozwiniętych obywateli. Jeśli tylko socyaliści chcą spełniać obowiązki swe w armii, to nie ma żadnego powodu występowania przeciwko nim. Odnośnie do stosunków narodowościowych uwzględnia się, o ile służba na to pozwala, wszelkie usprawiedliwione życzenia. Sprawa rewersów demolacyjnych jest już bliską ostatecznego załatwienia, zależy ono jeszcze tylko od porozumienia z Węgrami. Minister przyrzeka także rychłą reformę systemu odszkodowań za podwody. Co do kwestyi pojedynków, powołuje się minister na oświadczenie swe wdrożone w tej sprawie w komisyi wojskowej, gdzie sam nazwał pojedynki plagą (Duellunwesen). Mówca zawsze występował przeciw pojedynkom i gotów jest przyczynić się do ich usunięcia, ale w tej mierze potrzeba także współdziałania państwa i społeczeństwa. W końcu podnosi jeszcze mówca konieczność powiększenia marynarki wojennej i kończy prośbą, aby ludności mówiono nietylko o ciężarach, ale także o dobrych stronach armii (oklaski).

Po przemowie Słoweńca Ploja, dyskusyę zamknięto i wybrano mówców jeneralnych.

Jeneralny mówca contra p. Kramarz dowodził, że sprawiedliwa ugoda z Węgrami będzie tylko wtedy możliwą, jeśli nastanie pokój między Czechami a Niemcami. Czesi niechcą niczego więcej, jak tylko tego, aby Niemcy zostali Niemcami a Czesi Czechami.

Schoenererowiec Eisenkolb woła: „I aby słowiańszczyć państwo!" P. Kramarz. Przeciwnie, państwo boi się Wszechniemców. W parlamencie austryackim po raz pierwszy proklamowano zasadę, że mniejszość panuje nad większością. Schoenererowiec Hanisch woła: „Policya!" P. Kramarz odpowiada, wskazując na Anglię, gdzie świeżo posłów gwałtem wydalono z Izby. Następnie omawia p. Kramarz program Schonererowców, którzy żądają między innemi inkorporacyi sojuszu Austryi z cesarstwem niemieckiem do konstytucyi austryackiej. Czesi w interesie monarchii nigdy na to się nie zgodzą, jakkolwiek nie sprzeciwiają się sojuszowi z państwem niemieckiem, o ile on przyczynia się do utrzymania pokoju. Wśród ciągłych protestów i przerywań Schoenererowców, p. Kramarz cytuje ustępy z broszury ich „Zusammenbruch Oesterreichs" i oświadcza, że Czesi bronić muszą Austryi od grożącego jej niebezpieczeństwa zalania przez falę niemiecką. Wskazuje w końcu na wynarodowianie Polaków przez rząd pruski w Poznańskiem i dowodzi, że Czesi nigdy wobec Niemców podobnych środków się nie imali.

Po przemówieniu jen. mowcy *pro* Tollingera, tudzież referenta Popowskiego, nastąpił szereg faktycznych sprostowań wśród których radykali czescy ogromną podnieśli wrzawę z powodu, że prezydent po kolei odbierał głos pp. Zazvorce, Czerny'emu i Hruby'emu za to, że zamiast sprostowań faktycznych, wygłaszali długie mowy. Podczas tej wrzawy, prezydent zarządził głosowanie. Ustawę o kontyngencie rekrutów przyjęto w drugiem i trzeciem czytaniu wraz z wniesionemi rezolucyami.

O godz. ³/₄8 prezydent zamknął posiedzenie. Następne odbędzie się dziś o godzinie 11 przed południem. Przed zamknięciem wczorajszego posiedzenia przyjęła jeszcze Izba 143 głosami przeciw 134 wniosek, ażeby obrady komisyi dla nietykalności poselskiej były jawnemi.

List do Redakcyi.

(W sprawie zabijania bakteryi chorobotwórczych w ustach).

Publiczność nasza ma to niestety do siebie, że daleko łatwiej daje posłuch reklamie, zalecającej jakiś „cudowny środek", niż radom i przedstawieniom fachowców, którzy o tych „cudownych własnościach" danego środka muszą mieć jedynie dokładny i sprawiedliwy sąd. Niestety prostowanie mylnych i optymistycznych pojęć o owych cudownych środkach — spotyka się albo wprost z niedowierzaniem, lub co gorsza, z podejrzeniem, że specyaliści odrzucają pewien lek we własnym interesie.

Dzieje się to tem skwapliwiej wtedy, gdy taki głos ostrzegawczy pochodzi od „kogoś ze swoich". Wtedy już pewnym być można, że będzie to głos wołającego na puszczy. Może zatem wiadomość, że obcy lekarze, tj. dr. Michalski i Serkowski z Warszawy, zbadawszy skład chemiczny Odolu, wprost odmawiają mu wszelkiej wartości dla desinfekcyi jamy ust i konserwowania zębów, ostudzi zapał tych, którzy w nim widzieć chcieli nadzwyczajny jakiś specyfik. Nadmienić tu atoli muszę, że badania warszawskich lekarzy są bardzo już spóźnione. Już bowiem w roku 1896 badania takie przeprowadzono w centralnym instytucie hygienicznym w Saksonii i skonstatowano, że Odol zawiera co prawda desinfekcyonujące substancye, jak kwas salicylowy, saccharyn i salol, obok innych domieszek — atoli w takich małych ilościach, że desinfekcyi ust nie przeprowadza, a co gorsza, z pewnych względów jest dla zębów szkodliwy. Szkodliwy raz dlatego, że składniki jego, jak kwas salicylowy (w tej ilości) bakteryi jamy ust nie niszczą — ale natomiast uszkadzają szkliwo zębów, powtóre, że u tych, którzy Odolu używają, wyrabia brak staranności o swoje zęby, bo widzą w nim panaceum, zabezpieczające ich rzekomo od pójścia do dentysty. Mniemanie to jest oczywiście z gruntu błędne. Dokładne, a co ważniejsza, trwałe wyniszczenie bakteryj w ustach jest dotąd problemem nierozwiązanym i zdaje mi się, że się nigdy rozwiązać nie da. W sprawie tej zabierałem często głos w fejletonowych moich pracach, w różnych dziennikach umieszczanych (patrz choćby tylko *Przegląd* r. 1897 od nr. 164—168), nie pochlebiam sobie atoli, by z wielkim skutkiem. Mimo to uważam sobie za obowiązek powtórzyć jeszcze raz co następuje:

Specyficznego środka przeciw próchnieniu zębów nie ma i nigdy nie będzie. To leży w naturze chemiczno-pasożytniczego procesu, jakim jest właśnie owo próchnienie. Przyczyną jego są bezwątpienia bakterye znane i zbadane, ale wytępienie ich w ustach — i to na czas dłuższy, jest niemożebnem. Rzecz się ma bowiem w ten sposób: Albo pewien środek zabijający doszczętnie bakterye jest dla ust w potrzebnem zgęszczeniu niemożebny (z powodu trujących lub palących własności), albo gdyby nawet był możliwy — sterylizacya ust wystarcza ledwo na kilka minut. Po ich upływie jest w ustach znowu już kilka milionów bakteryi!!! Czy to więc jest Odol, czy Kosmin, przeświadczenie, że on zapobiega próchnieniu zębów — jest złudzeniem. W najlepszym razie użycie podobnych płukanek jest tylko środkiem pomocniczym i to w bardzo a bardzo nieznacznym stopniu. Dla konserwacyi zębów takie środki nie wystarczą. *Dr. Gońka.*

Co i o czem piszą.

Pan Witołd Schreiber snuje w *Tygodniku Podolskim* refleksye na temat estetyki w jedzeniu. Twierdzi on kategorycznie, że wszelkie proszone obiady i kolacye, wszelkie uczty zbiorowe mają w sobie coś arcynieestetycznego i powołuje się w tem na pewnego Anglika, który ilekroć był zmuszony zasiąść do wspólnego stołu, powtarzał: „Gromadne jedzenie nadaje ludziom wszelkie cechy zwierząt". Jest to twierdzenie zbyt daleko posunięte, w każdym jednak razie przypuszczać należy, że we wspólnem jedzeniu musi być coś, co urąga estetyce, i że każdy to należycie odczuwa, gdyż jedząc w towarzystwie redukujemy kęsy do *minimum*, staramy się ograniczyć do ostatecznych granic ruchy dolnej szczęki itp. Bądź co bądź zwyczaj wspólnego jadania, przyniosła cywilizacya, gdyż u ludów niecywilizowanych nie istnieje on zgoła.

I tak naprzykład — pisze p. Schreiber — mieszkańcy wysp Tahiti nigdy nie jadają razem. A zwyczaj ten ma miejsce nietylko wobec obcych, ale nawet wobec członków tej samej rodziny. Każdy z nich ma swoją własną plecionkę z potrawą i jedząc odwraca się plecyma do swego współbiesiadnika, usiadłszy w dodatku w przyzwoitej od niego odległości. Nie inaczej postępują ludy wyspy Orango. Te grzeszą może przesadą, bo jak pisze Steven, biesiadnik z każdym kęsem chleba wychodzi z izby na dziedziniec i znowu powraca z dziedzińca do izby po drugi. Nawet żona wobec swego męża i matka wobec dzieci trzymają się tej, zwyczajem powszechnym uświęconej, formy. Może praktyczniej, bo bez tak wielkiej straty czasu, zachowują się szczepy środkowej Afryki. Warrna n. p. nie pozwalają nigdy, przypatrywać się sobie w czasie jedzenia. Każdy mężczyzna i każda kobieta rozpala sobie własne swoje ognisko, gotuje osobno strawę dla siebie, a konsumując ją rozwiesza przed twarzą chustkę niby parawan. I Bakari w środkowej Brazylii nie znają wspólnych biesiad i nigdy nawet w rodzinnem kole nie zasiadają do jednego stołu. Kiedy zaś badacz Karol von Steinen zjechał w te strony i wobec nich krzepić się począł wódką, wszyscy pospuszczali nadół głowy, a w oczach rysował się wcale niekłamany wyraz zakłopotania.

Podobnymi przykładami — kończy p. Schreiber — mógłbym wypełnić wszystkie łamy tygodnika przez cały rok, ale byłoby to zbyteczne, bo i te które przytoczyłem są zapewne wymownym dowodem, że wszelkie wspólne biesiady mają w sobie pierwiastek nieestetyczny, że zatem zatarcie tego pierwiastka jest wyrazem nie rozwoju cywilizacyi, ale jej spaczenia. Nie wyobrażam sobie też człowieka cywilizowanego w dosłownem znaczeniu tego wyrazu, tak długo, aż zwyczaje wspólnych uczt roztopiwszy się bezpowrotnie w otchłani czasu — nie staną się źródłem badań dla historyka — folklorysty.

Całe to rozumowanie jest zbyt śmiałe i zamiast dojść do wniosku wręcz przeciwnego, mianowicie, że cywilizacya potrafiła wytworzyć u nas tak estetyczny sposób jedzenia, że możemy nim nie razić nikogo, p. Schreiber chciałby, abyśmy wrócili do obyczaju ludów dzikich. Przyznać możemy tylko to panu Schreiberowi, że tu i ówdzie zdarza się spotykać człowieka, nie umiejącego jeść estetycznie i rażącego zbyt ordynarnemi ruchami ust, szczęki dolnej, rąk itd. Ale u ludzi towarzysko wyrobionych, przyzwyczajonych od dzieciństwa bywać w gronie osób dobrze wychowanych, całe zachowanie się przy stole jest tak przyzwoitem i pełnem estetyki, że dziwić się tylko można temu, iż p. Schreiber pisząc swoje uwagi, zapomniał o całych zastępach ludzi, nie robiących przykrego wrażenia podczas jedzenia.

* *

Wędrowiec rozpoczął druk szeregu artykułów p. t. „Z podróży na Pomorzu". Pierwszy rozdział pisany jest w Lęborku, gdzie pod koniec wieku XVI książę Jan Fryderyk od zgromadzonych stanów hołd po polsku odbierał, a dziś polszczyzna przechowała się tylko wśród ludu okolicznego. Oto co tam czytamy:

„Objawy wskrzeszonego życia polskiego w Lęborku, po bardzo, bardzo długim letargu są młode i wątłe. Datują się one bowiem od lat dwóch dopiero, mianowicie od ostatnich wyborów do parlamentu niemieckiego w roku 1898, gdy po raz pierwszy w ogóle wystąpił polski kandydat na Pomorzu, w osobie p. Kulerskiego, redaktora *Gazety grudziądzkiej*. Zyskał on w okręgu lęborskim 1.200 głosów, co wobec zupełnie zaniedbanego i uśmierconego Pomorza było stosunkowo wynikiem zdumiewającym. W mieście Lęborku padło na niego 162, a we wsi Wierzchucinie 123 głosy. Pokazało się wskutek agitacyi wyborczej — o tę tylko chodziło, gdyż o wyborze polskiego posła nie można było nawet i myśleć — że istnieją jeszcze tu takie skupienia ludności polskiej, aby w nich mogło zakiełkować życie polskie, przy troskliwem i ofiarnem pielęgnowaniu rozwijać się, obejmując coraz większy teren, albo raczej zajmując cały teren, który jeszcze nie uległ zagładzie niemieckiej. Od tego czasu istnieje w Lęborku „Polsko-katolickie Towarzystwo św. Brunona", którego prezesem jest ubogi krawiec, p. Michał Koszałka, a jednym z najchętniejszych i najczynniejszych działaczy rozwoziciel piwa, woźnica parobek, p. Antoni Miotk (po niemiecku Miotke). Towarzystwo stoi ofiarnością najuboższych robotników i wyrobników, bo każdy, kto zajmuje choć trochę lepsze lub wyższe stanowisko, albo uważa się za takiego, chociażby w nim polszczyzna, względnie kaszubszczyzna, nie zamarła jeszcze całkowicie, albo nawet i dość silnie tkwiła jeszcze w jego istocie, stroni od towarzystwa, którego polszczyzna uważana jest za coś poniżającego, za tak coś pospolicie gminnego, że trzebaby się wstydzić na każdym kroku przynależności do niej. Na tem nie koniec. Ludność niemiecka tchnie nienawiścią ku niej, okazuje jej pogardę, a wszystko, co jakąkolwiek przedstawia władzę, prześladuje ją i upośledza".

W dalszym ciągu opisuje autor artykułu tego wizytę swoją u p. Koszałki, prezesa stowarzyszenia. Była to ubożuchna pracownia krawiecka; pokój wązki i mała kuchenka, oto cała siedziba rodziny Koszałków wraz z warsztatem krawieckim. Autor opowiada:

„P. Koszałka powitał mnie nadzwyczaj serdecznie. Widziałem, że się szczerze cieszył z odwiedzin „obcego rodaka", do tego jeszcze „z tak dalekich stron".

— Więc panowie przecie wiedzą o nas — zagadnął mnie — że żyjemy, że pracujemy, o ile starczy naszych sił słabych. Raduję się niezmiernie z tego i czerpię otuchę, że da Bóg przecież nam lepiej pójdzie. Zaczęliśmy w kilku! Z początku naśmiewano się z nas, wyszydzano nas, nazywano waryatami, ale my staliśmy wciąż twardo przy swojem i robiliśmy postępy. Po wyborach otoczono nas ze wszech stron złością i nienawiścią, prześladowano nas, jak pierwszych chrześcian, którzy kryli się w podziemiach. My wprawdzie nie kryjemy się w podziemiach, ale — dodał — jak pan widzi u mnie, po wilgotnych piwnicach. U mnie jeszcze pół biedy z mieszkaniem, ale inni istotnie mieszkają w nędznych podziemiach z licznemi rodzinami. Nasi członkowie sami maluczcy ludzie w doczesnem życiu — ubodzy robotnicy bez jutra, w ciągłej zostający poniewierce, w ciągłej trosce o chleb powszedni dla dzieci".

Z izby sądowej.

Łańcut, 11 marca.

(Ks. Stojałowski w obronie swej czci).

Ks. Stojałowski zaskarżył do sądu sekretarza starostwa łańcuckiego, p. Przestrzelskiego o obrazę honoru. Mianowicie dnia 13 grudnia 1900 r., podczas głosowania na posła V kuryi, miał wyrazić się do ks. Stojałowskiego, gdy ten cisnął się na czele włościan do lokalu wyborczego: „Wynoś się pan stąd!"... „my sobie z osłem damy radę", a po chwili dodał: „dureń". Rozprawa odbyła się dziś w tutejszym sądzie. Ks. Stojałowski sam nie stanął, zastępował go adwokat dr. Ramert.

Oskarżony p. Przestrzelski zaprzeczył, jakoby użył powyższych wyrażeń. Podał on, że przestrzegając porządku głosowania, kiedy ks. Stojałowski ze swymi zwolennikami zatamował wejście do lokalu wyborczego, istotnie mówił: „Proszę panów ustąpić", a stosował to do wszystkich. Być może, iż powiedział: „My sobie damy radę", ale z posłem, a nie osłem. Wyrażenie „dureń" odnosiło się do jednego z chłopów, którego za wyprawianie awantur kazał aresztować. Przesłuchano kilku świadków odwodowych; z tych nikt nic nie słyszał, jedyny zaś świadek dowodowy nieco sprzecznie zeznawał ze skargą. Sędzia wyrokujący, Świerzewicz, uznał niektóre szczegóły skargi za udowodnione, orzekł winę p. Przestrzelskiego i zasądził go na 2 dni aresztu, zamieniając równocześnie areszt na grzywnę w kwocie 10 koron. Obie strony zgłosiły odwołanie.

Gdzie tępią przepiórki?

Niemieckie pismo łowieckie *Der Waidmann* zamieszcza ciekawą w tym przedmiocie korespondencyę z Hiszpanii, podpisaną przez pana Ekmanna. Powszechnie sądzą, pisze p. Ekman, że w Hiszpanii i we Włoszech chwyta się przepiórki tysiącami w sieci. Otóż to wszystko — nieprawda. W Hiszpanii, właściwie, wcale się nie chwyta przepiórki, tylko poluje się na nią z wyżłem. W sidła chwyta się w całej Hiszpanii najwyżej 1.000 sztuk rocznie. We Włoszech łapią ich wprawdzie więcej w sidła i sieci niż w Hiszpanii, ale nie tyle, jak głoszą pisma środkowej Europy, zwłaszcza niemieckie. Nie Hiszpania, nie Włochy, tylko Egipt niszczy ród przepiórek. Beduini egipscy wynaleźli sobie wyrafinowany, złodziejski, że się tak wyrazimy, sposób łapania tych ptaków. W czasie ich przelotu kopią oni nad morzem w piasku pustyni na mil kilka skośne rowki w małych odstępach. Przepiórki, zmęczone upałem i lotem z głębi Afryki, wypoczywają na brzegach morskich, a znalazłszy te chłodne dziury, chętnie w nich przesiadują. Na tę chwilę czekają Beduini. Mężczyźni, kobiety, dzieci, całe setki ludzi rzucają się na te dziury i rękami chwytają żywe ptaki. W ten sposób giną w czasie przelotu tysiące przepiórek.

Dawniej w okolicach Aleksandryi, w Abukirze, chwytano przepiórki w sieci, obecnie mniej się to już tam praktykuje, ale wszystko to fraszka w porównaniu z owym systemem Beduinów. Rząd próbował wprawdzie zakazać tego sposobu polowania, lecz wobec poziomu tamtejszej cywilizacyi, zakaz tyle pomógł, jakby kto rzucał „groch o ścianę!" Jako dowód, w jakiej ilości łapano te ptaki, niechaj posłużą następujące cyfry. Z Egiptu roku zeszłego eksportowano 2,070.900 sztuk tych ptaków. Do Francyi wysłano 1,088.490 sztuk, do Anglii 92,000, do Włoch 70000, na Maltę 25.000, resztę do innych krajów. Jak wiadomo, przepiórka jest delikatesem, dla smakoszów bardzo ponętnym. To też, jeżeli w powyższy sposób będą dalej robić na nie obławy i polowania, to niezadługo ptak ten będzie należał do ptactwa przeszłości. W Paryżu i Brukseli, widzi się masy „egipskich przepiórek" u handlarzy zwierzyną.

Jedynym środkiem na ten wstrętny łów przepiórek byłby zakaz importu tego ptactwa z Egiptu, zwłaszcza we Francyi. Jest to hańbą, że w naszych czasach cywilizacyi i postępu takie prawo międzynarodowe dotąd, pomimo projektów i kongresów, nie obowiązuje. Najgorzej wychodzą na tem myśliwi w Hiszpanii. Dawniej dobry strzelec, zabijał w sezonie 25 sztuk przepiórek, dziś jest wielką zdobyczą, jeżeli się dziesięć zabije. Mylnem jest zdanie, rozpowszechnione w Niemczech, że ptak ten wędruje cieśninami morza Śródziemnego. Przeciwnie, leci on blizko lądu przy całym wschodnim brzegu Hiszpanii. Widuje go się tam tylko w jesieni, na wiosnę bardzo mało, wskutek owych barbarzyńskich łowów w Afryce.

KRONIKA.

Lwów 13 marca.

W Magistracie lwowskim pracują obecnie aż trzy komisye rewizyjne, a mianowicie komisya wybrana przez Radę miejską, druga, wydelegowana przez Wydział krajowy i trzecia z ramienia krajowej Dyrekcyi skarbu. Dwie pierwsze komisye mają za zadanie skontrolować, jak Magistrat gospodaruje funduszami gminy, natomiast zupełnie innym jest cel, dla którego władza skarbowa uznała za właściwe wejrzeć w agendy biur magistrackich. Ona wysłała swoich rewizorów do Magistratu dlatego że skutkiem powolnego ściągania podatków grozi skarbowi państwa niebezpieczeństwo utraty bardzo znacznych sum z tytułu zaległych podatków. Jak wiadomo bowiem, jedną z agend poruczonego zakresu działania Magistratu stanowi także egzekwowanie zaległości podatkowych i dla tych spraw istnieje w Magistracie osobny departament, zatrudniający cały sztab urzędników, pisarzy, woźnych i egzekutorów. Niejeden z obywateli miał sposobność poznać ten departament z bardzo przykrej strony, gdyż nękał on go grabieżami za stosunkowo bardzo małe kwoty, z drugiej strony jednak jest także bardzo wielu takich obywateli, dla których ten groźny departament podatkowy Magistratu był bardzo względnym, tak dalece, że ta względność jego przedstawia się jako niesłychane zaniedbanie. Takim uprzywilejowanym obywatelom, — a są to przeważnie ludzie mający wpływy w gminie, w ich liczbie radni miejscy, pozwalał Magistrat nieraz dość długo zalegać z grubemi sumami podatkowemi i wcale ich nie egzekwował. I doszło już do tego, że suma zaległości w samych podatkach rządowych wynosi we Lwowie 3 miliony koron, a wraz z dodatkami krajowymi i gminnymi aż siedm milionów.

Dla tego to wysłała i Dyrekcya skarbowa swoich kontrolorów do ratusza, a dziwić się tylko trzeba, że uczyniła to tak późno. Jeżeli kto bowiem, to ona pierwsza powinna była wiedzieć o tem, że ściąganie podatków przez Magistrat odbywa się nie dość ostro i że procent zaległości wzrasta nieproporcyonalnie szybko. Już to zatem, że exhibita podatkowe oddane przez władzę skarbową lwowskiemu Magistratowi do załatwienia, nie mogły doczekać się rychło ostatecznego zreferowania, albo przez ściągnięcie zaległych podatków albo przez wykazanie, że próbowano ściągnąć je w drodze egzekucyi, lecz bezskutecznie, powinno było skłonić naczelną władzę skarbową już dawno do wejrzenia w sprawę i zaprowadzenia jakiegoś ładu. Ten brak należytego nadzoru będzie miał teraz bardzo przykre następstwa i dla skarbu państwowego i dla krajowego i gminnego, wreszcie i dla samych kontrybuentów, zalegających z podatkami. Wielu bowiem obywateli, zalegających z podatkami, pomarło lub potraciło majątki, przepadną zatem z tego powodu te sumy, jakie się od nich należą państwu, krajowi i gminie, — ci zaś kontrybuenci, którzy coś posiadają, a zalegają z podatkami za dawne lata, będą musieli teraz płacić naraz ogromne sumy, co niejednego z nich narazi na ruinę. — Ten sam zarzut braku należytego nadzoru zrobić można także Wydziałowi krajowemu, bo i on powinien był wiedzieć o tem, iż ze Lwowa zalegają nieproporcyonalnie znaczne sumy, należne skarbowi krajowemu z tytułu dodatków krajowych, a nie wpływają do kasy krajowej, a jednak nie zarządził dochodzeń, dla czego tak się dzieje.

Już same cyfry statystyczne, odnoszące się do zaległości podatkowych powinny były wzbudzić zarówno w Dyrekcyi skarbowej jak i w Wydziale krajowym podejrzenie, że ze ściąganiem tych zaległości dzieją się w magistracie jakieś nieprawidłowości. Z końcem bowiem r. 1899 wynosiła suma zaległości w całym kraju wraz ze Lwowem około 32% rocznej należytości, w samym zaś Lwowie wynosiła ona aż 60%, a w reszcie kraju bez Lwowa tylko 15 do 20%. Dziś, gdy zło przybrało już za wielkie rozmiary, wszyscy rozwijają aż za wielką gorliwość w rewidowaniu Magistratu, gdyby jednak myślano o tem dawniej i częściej, nie mielibyśmy siedmiu milionów zaległości podatkowych i krajowi naszemu i jego stolicy oszczędzonoby nowej a bolesnej kompromitacyi.

Wiadomości urzędowe. Minister handlu nadał nadkontrolorowi pocztowemu we Lwowie Józefowi Piętakowi posadę nadzarządzcy urzędu pocztowego Lwów III (Podzamcze) i zamianował kontrolorów Edwarda Piwla, Karola Pachingera i Wilhelma Makuscha nadkontrolorami pocztowymi we Lwowie, a Józefa Czałoszyńskiego nadkontrolorem pocztowym w Krakowie.

Sprawą zastoju budowlanego we Lwowie, jak już donieśliśmy, zajęła się Rada państwa wskutek dwóch petycyj, wniesionych do Izby posłów przez przedstawicieli budowniczych i robotników budowlanych lwowskich. W jednej domagają się budowniczowie szeregu reform, jako to: udzielania konsensów budowlanych tylko technikom, utworzenia Izb budowniczych we Lwowie i Krakowie, zniesienia noweli o należytościach przenośnych, umieszczania urzędów państwowych w osobnych budynkach, i innych. W drugiej petycyi domagają się przedstawiciele przemysłu budowlanego lwowskiego rychłego rozpoczęcia budowy następujących gmachów: nowego zakładu karnego męskiego, gmachu dla biblioteki uniwersyteckiej, piątego gimnazyum, seminaryum nauczycielskiego, dworca kolei państwowych, przebudowy gmachu uniwersyteckiego oraz budowy kolei Lwów-Sambor i Lwów-Winniki-Przemyślany.

Z Towarzystwa historycznego. W sprawozdaniu z sobotniego zebrania członków Towarzystwa zaszła pomyłka, którą prostujemy. Prof. Abraham, opowiadając o rękopisie w Cividale, zaznaczył, że stoi on w związku z rodziną Andechs-Meran przez św. Elżbietę, która ten rękopis do Cividale darowała i z rodziną hrabiów Berg, z których pochodziła Salomea, żona Bolesława Krzywoustego.

Powszechne wykłady uniwersyteckie. Czwartek 14 marca. Szkoła realna, ul. Kamienna, godz. 5—6. Prof. uniw. dr. E. Porębowicz: „Ideały i hasła pierwszych romantyków: Romantyzm niemiecki". — Szkoła im. Mickiewicza, ul. Teatralna, godz. pół do 8 do pół do 9ej, prof. dr. J. Pawlikowski: „Z ekonomii politycznej: Organizacya pracy, kapitał jako czynnik produkcyi".

O. Adolf Bakanowski miewać będzie nauki rekolekcyjne w kościele OO. Zmartwychwstańców we Lwowie od dnia 18—22 marca włącznie o godz. 6 po południu.

Meble gięte. Bracia Tercyarze św. Franciszka (Lwów, Kleparowska 15) zawiadamiają za naszem pośrednictwem publiczność, że w swoim zakładzie naprawiają stare krzesła wyplatane, tudzież przyjmują zamówienia na nowe.

Handel śniadankowy Franciszka Glińskiego, mieszczący się w Pasażu Hausmana, popadł w konkurs, który wczoraj został urzędownie ogłoszony.

Okradzenie sądu. W nocy z 8go na 9ty bm. włamali się niewyśledzeni dotąd sprawcy do sądowego budynku w Boryni i skradli 600 K. gotówką, oraz stemple wartości 200 K.

Spółka „Zdrowie" dla wyrobu wody sodowej we Lwowie zakupiła w ulicy św. Marcina realność, gdzie urządzi swoją fabrykę i puści ją z dniem 1 maja w ruch.

Sprawa o napad na p. Götza. Krakowska prokuratorya państwa cofnęła zażalenie nieważności przeciw wyrokowi uwalniającemu Ciżka i Stylińskiego; tych dwóch więc już wypuszczono na wolność. Sikora i Kędzior pozostają nadal w więzieniu.

Czyn obłąkanego. Z Krakowa nam donoszą: Tutejszy malarz pokojowy, Władysław Chojdziński, człowiek obłąkany, rzucił wczoraj kamieniem na powóz, którym jechały Konstantowa hrabina Branicka i Pelagia hrabina Potocka i przebił obie szyby, przyczem kawałki szkła skaleczyły w czoło hr. Potocką.

Ludność Czech wedle ostatniego spisu wynosi 6,377.245 mieszkańców, czyli o 486.838 mieszkańców więcej niż przed dziesięcioma laty.

Zajście w Radzie powiatowej. Z Horodenki donoszą do *Dziennika Polskiego*: Dnia 7 bm. odbyło się w Horodence posiedzenie Rady powiatowej, które miało epizod, smutnie świadczący o szowinizmie naszych „braci Rusinów". Gdy większość, złożona z Polaków, obradowała nad tak ważnemi dla powiatu sprawami, jak budżet, budowa szkół itp., wszedł na salę dr. Okuniewski, otoczony swym sztabem i w przemowie rosyjskiej, której treść zaledwie można było zrozumieć, oświadczył, że Rusini usuwają się od obrad. Ciętą odprawę w języku ruskim dał drowi Okuniewskiemu p. Leszek Cieński. Okuniewski jednak, obawiając się, ażeby zbałamuceni przez niego chłopi, nie usłyszeli słów prawdy, czemprędzej wypchnął ich z sali. Po wyjściu Rusinów, uchwaliła Rada powiatowa na wniosek p. Cieńskiego budowę powszechnego szpitala w Horodence, dając tem dowód, że więcej, aniżeli fałszywi trybuni, dba o dobro ludności.

Biskupie stolice w Rosyi. Do wiedeńskich dzienników donoszą z Rzymu, jakoby dotychczasowy biskup żytomirski ks. Kłopotowski miał być zamianowany metropolitą petersburskim, ks. sufragan Niedziałkowski biskupem w Żytomierzu, a ks Szembek biskupem płockim

Towarzystwo urzędników prywatnych d. 1 stycznia liczyło 2137 członków i uczestników z 10313 udziałami, z roczną wkładką do funduszu dyspozycyjnego i rezerwowego 165.008 K. Majątek Towarzystwa wzrósł w roku ubiegłym o 18.196 K. 64 gr. i wynosił ogółem 1,478.838 K. 88 gr. Na zapomogi stałe i datki jednorazowe rozdzielono w r. 1900 150.717 K. 34 gr., a w ciągu istnienia Towarzystwa wydano tylko w dziale stałych zapomóg 1.836.423 K. 22 gr.

Utrudnienie cenzuralne w Królestwie polskiem, dotyczące rzekomo przedkładania cenzurze całego rękopisu powieści, które mają być drukowane w prasie polskiej, faktycznie nie istnieje — jak bowiem z Warszawy donoszą, komitet cenzury nie wydał żadnego w tej mierze nowego zarządzenia.

Śpiewak przeciw krytykowi. Z Warszawy nadchodzi wiadomość, że znany Lwowianom śpiewak tenorowy Stanisław Sienkiewicz (Roland), obecnie należący do opery warszawskiej, wytoczył skargę karną o dyfamacyę przeciw znakomitemu krytykowi teatralnemu prof. Antoniemu Sygietyńskiemu z tej prostej racyi, że p. Sygietyński zarzucił p. Sienkiewiczowi w jednej ze swych krytyk — nieumiejętne śpiewanie. Skarga to w każdym razie niebywała — zapewne też p. Sienkiewicz przygotowuje się z jakąś partyą operową na występ — w sali sądowej, — aby udowodnić, że p. Sygietyński nie miał racyi.

Alkohol w szkole. Wiedeńska okręgowa Rada szkolna poleciła wszystkim kierownikom szkół zebrać dane, dotyczące konsumcyi alkoholu przez dziatwę szkolną. W niektórych szkołach stwierdzono tedy, że wszystkie dzieci, nawet z klasy I, używają napojów alkoholowych, a mianowicie przy jedzeniu, kiedy rodzice sami dają im piwo i wino Piwo pije 50% dzieci, wino 48%, a wódkę 2%. Po za obiadami piją rzadko kiedy — zdarza się to tylko chłopcom, sprzedającym po restauracyach papierosy, zajętym tam przy czyszczeniu nakrycia, lub ustawiającym kręgle. Z dziećmi, któreby nie używały codziennie alkoholu, nie spotkali się zbierający owe daty. Co do wpływu alkoholu na sprawowanie i postępy w naukach, stwierdzono, że dzieci, które w domu dostają wino, mają umysł bystrzejszy i są bardziej rozwinięte, aniżeli inni uczniowie.

Wspaniały obiad wydał przed kilku dniami w Nowym Jorku Henryk Smith, który niedawno odziedziczył 16 milionów po stryju, słynnym skąpcu. Obliczają, że przyjęcie kosztowało go 60.000 dolarów, na same kwiaty wydał 5000 dolarów; do ubrania stołu użyto 40.000 róż, 20.000 lilii, 5000 tulipanów, 5000 żółtych narcyzów i 50.000 gałęzi rzadkich krzewów.

Dowcip Dumasa. Dumas (ojciec) słynący z dowcipu, zapraszany bywał ustawicznie na obiady. Przy stole był nieubłaganym szydercą. Pastwił się zwłaszcza nad pewnym wicehrabią, którego wszędzie spotykał. Niegdyś ów wicehrabia, dowiedziawszy się, że Dumas będzie u znajomych, odmówił zaproszenia na obiad; wreszcie dał się skłonić do przybycia pod warunkiem, że Dumas przez cały obiad odezwie się raz tylko jeden. Romansopisarz zobowiązał się do tego solennie. Dumas, jak zwykle rozmowny, milczał; jego przeciwnik ust nie zamykał. Podano raki. Wicehrabia wziął ich tak dużo, że uznał za stosowne usprawiedliwić się.

— Lubię pasyami raki. — oświadczył. — Mógłbym ich zjeść tyle, ile Samson zabił filistynów.

— Zapewne tym samym instrumentem — wtrącił Dumas ku ogólnej wesołości.

Ofiary. Na odbudowę spalonej części klasztoru na Jasnej Górze złożyli w dalszym ciągu w naszej Redakcyi: Marya Radońska z Zubrzca koło Buczacza (z prośbą o modlitwę na intencyę powrotu do zdrowia) 4 K.; Helena Komarkiewicz z Werchraty (z prośbą o Mszę świętą za duszę ś. p. Jana) 2 K.; J. H. z Czarnołoziec (z prośbą o opiekę N. M. P.) 2 K. Dotychczas złożono u nas na ten cel: **5.929 K. 10 gr.**, dwanaście dukatów, półimperyał, dziesięć marek w złocie i 2 pierścionki.

Zmarli. W Krakowie Ludwika z Ejchlerów Mikulińska, wdowa po lekarzu, lat 92.

Stan powietrza. T. o g. 6 rano + 4, w poł. +7 R. Bar. 770. Podnosi się. Pochmurno.

Rozwiązanie szarady zamieszczonej w nrze 56 *Przeglądu* brzmi: Eskulap. Trafne rozwiązanie nadesłali: Róża i Jakób Goldbergowie z Brzeżan, Zofia Gajewska z Brzyskiej Woli, Zofia Iwanowicz z Kołomyi, W. Łobaczewska z Łupkowa, Krantz z Niemirowa, J. Wowkonowicz z Maczug, ks. Łukasz Wójtowicz ze Sąsiadowic, Alojzy Ormezowski ze Skoryk, Marya Olexy ze Sokołowa pod Rzeszowem, Wanda Kopaczyńska ze Stanisławowa, Kazimierz Brzeziński, Marya Bronarska, Stanisław Przemycki, Kazimierz Riedl i Antoni Sajewicz ze Lwowa.

Kilka osób, jak Julian Hoszek z Chorostkowa, Gaspary Zieliński z Manajowa, Wanda Berska i Olga Polińska ze Lwowa nadesłało rozwiązanie brzmiące: Geniusz. Rozwiązanie to, chociaż dobre co do technicznej budowy sylab, nie odpowiada jednak w całości znaczeniu szarady.

Fraszka.

Nasza prasa — dzielna prasa!
Cdy cię kocha — rozkosz duszy!
Lecz powiedz jej, że nie krasa,
No, zatykaj nos i uszy.

Przykład: lubisz kluski z serem,
Ona lubi kluski z makiem.
Ergo: jesteś osłem, zerem,
Błaznem, zdrajcą i łajdakiem. *M. Rodoć.*

Nieomylny znak.

Matka: Czy mówił do ciebie pan Edward coś takiego, z czego można aby sądzić, że ma zamiar prosić o twoją rękę?

Córka: O, tak mamo! Pytał się, ile wynosi dług hipoteczny na naszym domu.

Repertuar teatru miejskiego we Lwowie. Dziś we środę „Łucya z Lammermooru", opera w 4 aktach a 6 odsłonach Donizetti'ego; gościnny występ pani Jadwigi Camillowej. We czwartek po raz 4-ty „Wesoła dwójka", operetka w 3 aktach C. M. Ziehrera.

Literatura i sztuka.

Z teatru. Wczoraj odegrano po raz pierwszy 3-aktową sztukę panny Zofii Wójcickiej pt. „Psyche". Autorka debiutowała niedawno na scenie krakowskiej dramatem „Dyletanci", który był odznaczony na konkursie Wydziału krajowego, a krytyka krakowska przyznała jej znaczny talent. Wystawiona wczoraj u nas druga sztuka panny Wójcickiej świadczy też niewątpliwie o pewnym talencie autorki, ale talencie jeszcze bardzo chaotycznym, który nadto znajduje się w towarzystwie bardzo niebezpiecznem: pretensyonalności. Pretensyonalnym jest przedewszystkiem tytuł sztuki: Psyche, tragedya dziecięca dla dorosłych dzieci. Według tego mamy prawo oczekiwać w sztuce jakichś nadzwyczajnych rewelacyi z psychologii dziecięcej, wyjawienia jakichś tajemnic w rozwoju młodocianych umysłów i serc, tajemnic, które zazwyczaj prześlepiają rodzice i pedagogowie. Na to też zakrawa sztuka panny Wójcickiej, tylko, że w sztuce tej nic absolutnie nie jest przeprowadzone ani pokazane, treść jej zaś jest tak bezładną i luźną, że sprawozdawca jest w prawdziwym kłopocie, chcąc ją w związku opowiedzieć.

Bo posłuchajmy: Jest pani Aniela Łaska (pani Rotter), wdowa, mająca dwie córki: starszą Helę (pani Bednarzewska) i młodszą Ludkę (pna Jankowska). Sztuka zaczyna się — niby charakterystycznym akordem — sceną pedagogiczną: Ludka kuje z historyi ustęp o spaleniu Husa i jako *enfant terrible* zadaje matce kilka niepotrzebnych pytań: „Mamusiu, po co my się uczymy rzeczy, których potem zapominamy?" „Czy człowiek jak się rodzi [illegible]?" albo mówi: „To jednak musi bardzo boleć, jak się tak pali na stosie... chciałabym [illegible] duszę jak Hus". Matka odpowiada córce ni to ni owo i albo ją strofuje albo daje jej tylko jakieś banalne uwagi, np. „Ludko, powinnaś się uczyć religii, bo człowiek bez religii jest potworem". Tendencya tej sceny jest ta sama: ma z niej niby wypływać, że wiele rodziców nie ma zrozumienia dla szlachetnych porywów u dzieci swoich i karmi je zdawkowemi formułkami o obowiązkach, cnocie, moralności itd. Natomiast słucha pani Łaska bardzo chętnie, gdy Ludka siadłszy jej na kolana opowiada, że niejaki p. Czopowicz (p. Feldman), konkurent do ręki pani Łaskiej, mówił o niej, że ma noc w oczach, a słońce na głowie (pani Łaska jest czarnooką blondynką).

Wkrótce zapoznajemy się także z drugą córką pani Łaskiej, Heleną. Podczas gdy Ludka *ma być enfant terrible*, Helena *ma być* idealistką i marzycielką. Kładę nacisk na to *ma być*, bo autorka wcale nie zdaje sobie z tego sprawy, że wewnętrzna istota człowieka nie zawsze jest zgodna z tem, co on mówi o sobie. Otóż owa Hela takie rzeczy mówi przed matką: „Czasem mi się zdaje, że mam w piersiach ogromny młot... chciałabym iść na gwiazdy, bo tam się zapewne oddycha szeroko... Nieraz gdy siedzę tak, to zdaje mi się, że przyszłam na świat dopiero przed chwilą i tak się wszystkiemu dziwię... tak się dziwię... Ja chcę walki czynnej, ja chcę szerokiego, bujnego życia, to co wy nazywacie życiem, to nie życie, lecz gnicie..." i t. p. A matka zamiast jej odpowiedzieć: „Moje dziecko, po co ty tak blagujesz i egzaltujesz się", woli się kompromitować przed nią i tak mówi: „Ależ ja ciebie nie rozumiem... [illegible]" Po tej tylko [illegible] jest na świecie, w [illegible] a tak [illegible] życia.

Ostatecznie w pierwszym akcie Hela łapie matkę na gorącym uczynku całowania się z Czopowiczem. Czopowicz oświadcza, że będzie jej ojczymem, co Hela przyjmuje potępiającym okrzykiem: „Mamusiu!" Autorka chce tu [illegible] jako zbrodnię lekkomyślności wobec dzieci, nie dostarcza jednak prócz twierdzenia żadnego dowodu ani argumentu.

Oprócz tych osób kręcą się po scenie jeszcze dwaj młodzieńcy: technik Władysław (p. Stanisławski), kuzyn Łaskich, i uczeń VIII kl. gimnazyalnej Tadzik (p. Nowacki), młodzieniec niezmiernie pesymistycznie usposobiony, pogardzający wszystkiem i wszystkimi. Znosi on Heli książki do czytania, np. Bourgeta, d'Annunzia, ale uważa i ją, podobnie jak wszystkie kobiety, za „nieopierzone gęsi".

W II akcie wprowadza autorka nową osobę: nauczycielkę Reginę, siostrę Tadzika (pna Arkawin), rozpoczyna się zaś ten akt od sceny w której pedagog Renia, osoba bardzo rozumna i szlachetna, ma przed panią Łaską długi wykład pedagogiczny. Wykład ten jest niejako komentarzem całej sztuki lecz jest o tyle niedołężny, o ile bombastyczny i naszpikowany frazesami. Otóż poucza Renia, czyli jak ją nazywają Renia, panią Łaską, że jej dzieci i Tadzik, są teraz w tym przełomowym okresie, w którym budzi się dusza, a potem — niby Lohengrin w ostatnim akcie — opowiada jej taką legendę: „Nad brzegiem rozległego jeziora, wśród traw, wznosi się [illegible] pałac. Co rano srebrne fale jeziora u stóp jego pieśń radosną śpiewają, a nigdy nie powiewa tam tchnienie zimy. A w pałacu tym mieszka [illegible], złotowłosa [illegible] i jasna Psyche, dusza ludzka. [illegible] w piersiach ludzkich, [illegible] się zbudzi [illegible] i w [illegible] budzi się dusza [illegible] a gdy [illegible] pałacu dotknie [illegible]."

[illegible] Wchodzą Ludka i Hela. Renia całuje je, mówiąc: „[illegible] — one mnie znają". I podczas gdy pani Łaska mówi: „Jak [illegible]" [illegible] przed Renią, a [illegible] mówi: „[illegible] pachnie spokojem".

I w tym akcie nic nowego się nie dzieje, z wyjątkiem tego, że Hela daje kosza niejakiemu Daszowskiemu (p. Antoniewski), wyrzucając mu wobec licznego grona osób, że on uwiódł jakąś szwaczkę i porzucił. Cała ta scena jest niespodzianką, gdyż wychodzą w niej na jaw fakta, o których dotychczas nie było ani wzmianki, służy zaś do podniesienia szlachetności Heli, a do poniżenia jej matki i jej koleżanek, które ją ganią za odrzucenie dobrej partyi. To jest jedyny moment w całym akcie, w którym osoby sztuki przechodzą jakieś realne konflikty i sytuacya się zaostrza; zresztą bowiem mamy wciąż albo tyrady albo dyalogi, z których się nic dowiedzieć nie można i tylko tyle jest widoczne, że autorka chce w nas wmówić, iż z Helą i Tadzikiem „coś" się dzieje, ale co? niewiadomo. Jedynem wyjaśnieniem danem nam przez autorkę jest wyjaśnienie obrazowe: Psyche się w nich obudziła. Ale to przecież jest tylko porównanie, metafora, która mieć powinna jakiś wykładnik faktyczny w wypadkach, polegać na jakichś uchwytnych przejściach. O żadnych takich przejściach jednak się nie dowiadujemy, wszystko musimy wierzyć autorce na słowo. Słyszymy tylko z ust Heli ciągłe frazesy, takie np.: „faktem jest jednak, że jest coś, co nas pożera" (*coś* i *jakiś* zdają się być najulubieńszemi słowami autorki), a Tadzik ma np. takie elukubracye: „Jak te żółte liście padają z cicha, bez protestu — myślę sobie, co też one myślą spadając? Jakie to musi być uczucie spadać tak cicho po linii ukośnej, i leżeć aż kto nadepcze, i gnić... ale wiele jest między nimi takich, które spadły i zgniły zielone... Co ja mam z tem zrobić, co mi w piersiach siedzi?" itp. Pewne malutkie wyjaśnienie dają nam słowa: „Wiarę i miłość wielkich celów wyssała ze mnie analiza... my jesteśmy jak otchłanie, do których wy dorośli nie możecie zajrzeć". Być więc może, że pod wpływem lektury np. Bourgeta stał się Tadzik „przeanalizowanym", być może także, że autorka uważa go za pozera... widz co do tego może tylko snuć różne kombinacye, ale się nic nie dowiaduje.

W III akcie mamy znowu raptowny stek niespodzianek: dowiadujemy się, że Renia kocha się w Władku, owym techniku, kuzynku Łaskich, o którym prawie zapomnieliśmy. Nagle ów Władek zaczyna wyrastać na bohatera: wobec Heli wyjawia, że właśnie zrobił jakiś wynalazek techniczny, wśród opowiadania wpada w zapał i woła: „Mógłbym teraz słońcu powiedzieć: „stój", gdybym chciał". Ku wielkiemu zdziwieniu widzów Hela pada przed nim na kolana i woła w zachwycie: „O ty mój ukochany, ja na ciebie czekałam wieczność całą". Władek klęka przed nią, obejmuje ją i tak oboje klęcząc przed sobą, wymieniają górnolotne frazesy. Na tem schodzi ich Renia i zamiast, jakby się po jej mądrości spodziewać należało, przyjąć to z rezygnacyą, że Władek kocha inną — robi obojgu straszną awanturę i mówi: „Teraz jest coś we mnie, co mnie przeraża, moja dobroć umarła — obudziły się we mnie złe struny — gdybym mogła z zimną krwią teraz drzeć wam z duszy pasy, to poznalibyście, co to za ból beznadziejny... nienawidzę was, bo wam zazdroszczę, tak, zazdroszczę... no, idźcie sobie". Władek i Hela słuchają tej długiej tyrady w milczeniu ze spuszczonemi głowami, a potem wychodzą. Podczas tej tragicznej sceny jednak Renia stłukła w irytacyi piękny wazon, którego zniszczenie według tradycyi w jej familii ma oznaczać bliskość fatalnego wypadku. Wchodzi Tadzik, a widok czerepów wazonu przyspiesza w nim oddawna już żywiony zamiar samobójstwa: oświadcza pogrążonej w rozpaczy siostrze, że gdyby coś zaszło, to niech ona pomyśli, że to Psyche pocałowała go w czoło. I wychodzi, aby się zastrzelić — jego siostra tknięta przeczuciem, nagle wstaje, patrzy przed siebie, jakby coś niewidzialnego widziała, i pyta: „Kto tu?" — zaraz potem słychać za sceną huk wystrzału, i na tym epizodzie a la Maeterlinck sztuka się kończy. Atoli nie dowiadujemy się wcale, z jakiego powodu Tadzik zabija się. Jest on wprawdzie pod wpływem przygnębienia, bo padł przy maturze, ale sam nie przywiązuje do tego wagi. Na początku 3-go aktu mamy wprawdzie scenę rozmowy Tadzika z kolegą, w której Tadzik mówi, że mu czasem drżą bardzo ręce — być więc może, że autorka samobójstwo to pojęła na tle seksualnem, ale i pod tym względem nie ma widz żadnej pewności.

Na tle przejść wieku dziecięcego napisał w Niemczech Frank Wedekind słynną tragedyę: „Frühlingserwachen", — u nas Zapolska powieść „Przedpiekle". W obydwu tych utworach strona zarówno psychologiczna, jak i fizyologiczna kwestyi jest poruszona poważnie i dość głęboko, natomiast sztuka panny Wójcickiej robi takie wrażenie, jakby jej autorka nie chciała na seryo poruszyć jakiejś ważnej kwestyi, lecz tylko popisać się tem, że jest „modern". Daje ona bowiem pewien szczupły materyał obserwacyjny, lecz każe widzowi oryentować się w tym materyale tylko według jakichś naiwnych, niby to poetycznych punktów widzenia, mających tylko wartość obrazu, porównania. Zresztą sama autorka wciąż swój temat zaniedbuje, a podobnie jak niejasno przedstawia się u niej kwestya owej „Psyche" od strony wychowywanych, tak niezupełną jest od strony wychowawców, bo prócz pani Łaskiej, która dość rzadko pojawia się na scenie, nie mamy nikogo, któryby rozwój owej „Psychy" lekceważył, czy tłumił. Dlaczego zaś „Psyche" budzi się dopiero w pewnym wieku i dlaczego wtedy trzeba specyalnie uważać na dzieci, niewiadomo. Nam zdaje się, że „Psyche" dziecięcia wciąż się budzi, wciąż się rozwija i dojrzewa i że na dzieci zawsze bardzo uważać potrzeba a nietylko wtedy, gdy one — jak Ludka w sztuce autorki — zaczynają się domyślać „wszystkiego".

Równie pretensyonalną a niedołężną, jak treść jest i forma sztuki a zwłaszcza dyalog. Dyalog ten zbudowany jest z dwóch pierwiastków. Jestto albo tzw. dyalog szarpany, realistyczny na wzór modernistycznych dramatów niemieckich, ale autorka nadużywa go tak, że jej osoby nieraz i 10 minut mówią ze sobą o „czemś" co im samym tylko wiadomo, a widz jest jak tabaka w rogu; albo też wpada autorka w drugą ostateczność i wkłada swoim osobom w usta, niby arye operowe, osobne, zaokrąglone elukubracye (np. arya Reni o „Psyche" arya Tadzika o liściach jesiennych) lub zaokrąglone aforyzmy, co robi takie wrażenie, jakby autorka cytowała co chwila jakieś wyjątki ze swego własnego pamiętnika.

Sztukę panny Wojcickiej grano ogółem dobrze, na szczególne podniesienie zasługuje gra panny Arkawin w roli Reni. Publiczności sztuka zrazu się podobała, oklaskiwano też autorkę dość ciepło, bo po pierwszym akcie rzecz zapowiadała się interesująco, potem jednak publiczność nie wiedziała wcale, co z tym fantem robić i albo męczyła się, pragnąc daremnie pochwycić jakiś wątek, albo nudziła się potężnie. A ponieważ w sztuce jest na jednem miejscu mowa o okresie „ząbkowania" u dzieci, dało to po skończeniu sztuki wielu osobom wychodzącym z teatru asumpt do uwagi, że autorka sama nie przebyła jeszcze okresu „ząbkowania".

K. I.

Część ekonomiczna.

Wiedeń, 11 marca.

(Z.). Kursa papierów wciąż rosną jak na drożdżach. Dziś np. podniosły się austryackie kredyty o 7½ koron, węgierskie o 6½, landerbanki o 12½, anglosy o 15, uniony o 6 itd. Podniosły się także papiery przemysłowe, osobliwie akcye fabryk cementu, gdyż wzmagające się zainteresowanie sprawą budowy kanałów wzbudza nadzieje, że zapotrzebowanie cementu urośnie niebawem do niesłychanych rozmiarów. Zauważyć można, że i publiczność zaczyna już brać udział w spekulacyi giełdowej i dziś np. wykonywano bardzo dużo zleceń zakupna na rachunek klienteli prywatnej. Jeżeli obecna spekulacya zwyżkowa przybierze za wielkie rozmiary, to może to sprowadzić nowe a bardzo poważne niebezpieczeństwa, gdyż doświadczenie uczy, że tego rodzaju spekulacya nigdy nie ma właściwej miary i niemal z reguły pociąga za sobą gwałtowną reakcyę i liczne ruiny finansowe tych, którzy albo za późno rzucą się w wir spekulacyi, albo nie umieją wycofać się z niej zawczasu. Pogłoski o bliskiem wrzekomo upaństwowieniu kolei pół ocno-zachodniej na razie ucichły.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 703·00, węgierskie 715·00, Anglobanki 293·00, Uniony 572·00, Bankvereiny 507·00, Länderbanki 437·50, Ludwiki 429·00, Czerniowieckie 553·00, Elbethale 509·00, Renta papierowa 98·65, srebrna 98·55, austryacka złota 118·35, austr. renta wal. kor. 98·10, węgierska złota 118·40, węgierska renta wal. kor. 93·50, dukat 11·32, 20-franków. 19·08—, 20-markówka 23·48, ruble 2·53½.

Bank rolniczy we Lwowie. Lwów, dnia 13 marca 1901.

Usposobienie niezmienne.

Dziś notujemy za 50 klgr. loco Lwów: (Waluta koronowa). Pszenica gotowa 7·50 do 7·75, pszenica na termina 7·25 do 7·60, żyto gotowe 6·50 do 6·75, żyto na termina 6·40 do 6·50, owies obroczny gotowy 6·50 do 6·75, owies obroczny na termina 6·30 do 6·60, jęczmień pastewny 5·50 do 5·75, jęczmień browarniany 6·30 do 6·60, rzepak 10·25 do 10·75, lnianka —·— do —·—, groch pastewny 6·25 do 6·75, groch do gotowania 7·25 do 12·—, wyka 7·50 do 8·50, bobik 6·— do 6·25, hreczka 7·— do 7·25, kukurudza nowa 5·75 do 6·10, kukurudza stara 0·00 do 0·—, chmiel za 56 kilo —·— do —·—, koniczyna czerwona 45·— do 60·—, koniczyna biała 35·— do 75·—, koniczyna szwedzka 50·— do 90·—, tymotka 20·— do 26·—, spirytus paritas Tarnopol gotowy za 50 litr 16·75 do 17·—, spirytus paritas Tarnopol na termina 16·25 do 16·50.

Sprawozdanie z targu zbożowego na Kleparzu.

Kraków, 12 marca.

Kupujący, to jest młyny, nie opuściły dotąd wyczekującego stanowiska, jakie wobec utrudnionego odbytu na mąkę od dłuższego czasu zajmują. Z tego powodu ruch w handlu zbożowym nie zdołał się ożywić, jednakowoż — mimo ograniczonego odbytu — ceny utrzymują się dotąd niezmienione.

Płacono: pszenicę białą od 8·25 do 8·55 K., czerwoną 8·15 do 8·45 K., żółtą 8·15 do 8·45 K., żyto 7·20 do 7·60; jęczmień browarny 6·50 do 7·30 koron; na krupy 6·15 do 6·25 K.; owies 6·70 do 7·25 K., rzepak —·— do —·— K., konicz czerwony —·— do K., biały —·— do —·— K., kukurydza —·— K., — wszystko za 50 kilogramów

Bank gal. dla handlu i przemysłu.

§ **Konsygnacya** ogierów rządowych, wystawionych w peryodzie 1901 w stacyach i stadninach rządowych, oraz wynajętych osobom prywatnym, wyszła nakładem ministerstwa rolnictwa i jest do nabycia w księgarni Fryderyka Becka w Wiedniu.

§ **Sprawozdanie** tygodniowe Izby handlowo-przemysłowej o cenach zboża i produktów we Lwowie od 5go marca do 11go marca bez opłaty akcyzowej. Waluta koronowa i za 50 kilogramów. Pszenica stara 7.70 do 7.90, żyto 6.45—6.70, jęczmień browarny 6.45—6.85, jęczmień pastewny 5.50—5.75, owies 6.50—6·75, hreczka 7·00—7·25, kukurudza zeszłoroczna 6.00—6.25, kukurudza nowa 5.75—6.10, proso 0.00—0.00, groch do gotowania 7·90—10.40, groch pastewny 6.50—6.90, soczewica 0.00—0.00, fasola 0.00—0.00, bobik 5.90 do 6.15, wyka 7.75—8·25, koniczyna czerwona 45.00 do 55.00, koniczyna biała 47.50—70.00, szwedzka od 50—90, tymotka 20—26, anyż rosyjski 00—00, anyż płaski 25—26, kminek 0—0, rzepak zimowy 13·00—13.50, rzepak letni 10.25—10.75, lnianka 00.—do 00—00, nasienie lniane 12.75—13.00, nas. konopne 9.50—10.00, chmiel 90—100, nafta zwykła 17.00—18.00, salonowa 19.00—20.00, łój topiony 36.50 do 37.50, spirytus 10.000 litr. pr. gotowy kontyngentowany bez opłaty podatku 37.40—37.80.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU".

Wiedeń 13 marca. Subkomitet dla sprawy dróg wodnych, wybrany z łona Rady przemysłowej, uchwalił przedłożyć tej Radzie następujące wnioski: Rada przemysłowa wyrażając żywe zadowolenie z powodu stanu studyów i projektów w sprawie dróg wodnych, uprasza rząd usilnie, ażeby wniósł w Radzie państwa jeszcze w tej sesyi przedłożenie o ustawodawczem załatwieniu i finansowem zabezpieczeniu budowy kanałów spławnych i kanalizacyi odpowiednich części rzek w grę wchodzących. Celem ostatecznego ustalenia projektów, należy utworzyć w ministeryum handlu komisyę fachową dla przeprowadzenia studyów nad systemem technicznym, który ma być użyty przy budowie owych kanałów. W szczególności mają być wybudowane kanały: Dunaj-Odra, Dunaj-Łaba, połączenie kanału Dunaj-Odra z Wisłą a Sanu z Dniestrem, oraz kanału Dunaj-Odra z Łabą od Przerowa do Pardubic. Pod względem finansowym ma rząd z interesowanymi krajami i gminami pozawierać układy o przyczynieniu się ich do pokrycia kosztów. Dla przeprowadzenia budowy wspomnianej sieci dróg wodnych, należy ustanowić osobną komisyę podwładną ministerstwu handlu, a uprawnioną do zaciągnięcia pożyczki publicznej i do wywłaszczania. Po ukończeniu budowy, mają drogi wodne być administrowane przez państwo; oddanie zarządu przedsiębiorstwom prywatnym może nastąpić tylko na mocy osobnej ustawy.

Barcelona 13 marca. W Torello zdarzyły się hałaśliwe manifestacye. Ekscedenci przecięli druty telegraficzne, podpalili tamtejszy „dom przemysłowców" i obrzucili wojsko kamieniami. Wojsko dało ognia i zraniło kilka osób.

Londyn 13 marca. Budżet marynarki na rok 1901/1902, przewiduje budowę trzech pancerników, sześciu krążowników pancernych, dwóch krążowników III klasy, 5 łodzi torpedowych, 10 statków do rozbijania torpedowców i 5 łodzi podmorskich.

Madryt 13 marca. Z wielu miejscowości donoszą o rozruchach, wywołanych demonstracyami przeciw klerykałom. Przyszło również do starć z żandarmeryą, wśród których wiele osób zraniono, a jedną zabito.

Haga 13 marca. Izba uchwaliła ustawę, wedle której czas służby wojskowej w piechocie ma wynosić 8 i pół miesięcy, a w kawaleryi 18 miesięcy. Minister wojny prawdopodobnie z tego powodu poda się do dymisyi.

Monachium 13 marca. Wczoraj popołudniu odbył się na cześć Cesarza Franciszka Józefa i niemieckiego następcy tronu obiad w zamku królewskim. Cesarz austryacki wzniósł toast na cześć ks. Luitpolda, który odpowiedział serdecznym toastem na cześć gości. Wieczorem miasto było wspaniale iluminowane. Niemiecki następca tronu wieczorem odjechał do Berlina.

Marsylia 13 marca. Wczoraj popołudniu rzucili się strejkujący robotnicy na ładunek worków z migdałami, porozpruwali worki i rozsypali towar. Policya i żandarmerya wkroczyły; zarządzono liczne aresztowania.

Poznań 13 marca. Adwokat poznański dr. Bernard Chrzanowski został wybrany posłem w miejsce śp. Mottego, przeciw głosom połączonych stronnictw niemieckich. Kandydat Niemców, starszy burmistrz Poznania Witting, pozostał w znacznej mniejszości.

Wiedeń 13 marca. W Izbie posłów przedłożyli pp. Straucher i tow. wniosek o urządzenie samoistnego wyższego sądu na Bukowinie z siedzibą w Czerniowcach.

Przed posiedzeniem Izby odbyło się posiedzenie subkomitetu komisyi socyalno-politycznej, na którem referent p. Kolischer wygłosił sprawozdanie o przedłożeniu rządowem, dotyczącem skrócenia czasu pracy w górnictwie.

Poznań 13 marca. Policya zwróciła wydawcy tygodnika *Praca* zabrane papiery i rękopisy, ponieważ rewizya w żadnym kierunku nie dostarczyła materyału obciążającego.

Opole 13 marca. W niedzielę odbył się tu polski wiec ludowy, na którym omawiano sprawę ceł i powzięto rezolucyę przeciwko podwyższeniu cła na zboże. Zaprotestowano także przeciw mowie, wygłoszonej przez posła Jażdżewskiego w sejmie pruskim, a w której poseł ten imieniem Polaków wypierał się łączności z „agitacyą polską na Górnym Szląsku."

Poznań 13 marca. P. Chrzanowski otrzymał 13.130 głosów, Witting 9.186, socyalista Kasprzak 695. Wobec tego, że w 18 okręgach z których wiadomości brak, przewagę mają Polacy, wybór Chrzanowskiego jest pewny.

Kraków 13 marca. Chojdziński, który rzucił kamieniem w powóz, którym jechała hr. Potocka, cierpi od roku na silny obłęd, objawiający się od czasu do czasu gwałtownymi wybuchami. Mimo, że cały rok pozostawał bez należytej opieki, dopiero wczoraj odstawiono go do szpitala dla obłąkanych.

Rada państwa.

Wiedeń 13 marca. Posiedzenie dzisiejsze rozpoczęło się o ¾12. Prezydent zawiadomił, że od prezydenta ministrów otrzymał pismo z prośbą o jak najrychlejsze dokonanie wyboru deputacyi kwotowej; oświadczył, że wybór do wspomnianej deputacyi postawi wkrótce na porządku dziennym. P. Ofner stawia wniosek, aby — ze względu na fakt, iż posłowi Seitzowi wytoczono śledztwo dyscyplinarne, mimo nietykalności poselskiej — uchwaliła Izba, że podczas trwania sesyi bez zezwolenia Izby nie może być zarządzone przeciw posłowi śledztwo dyscyplinarne, gdyż jest to naruszeniem §. 16 ustawy zasadniczej o reprezentacyi państwa; wzywa przeto prezydenta, aby strzegł praw Izby. Wnioskodawca żąda dalej zastanowienia śledztwa przeciw Seitzowi i wnosi przekazanie tej sprawy komisyi konstytucyjnej, która w przeciągu 48 godzin ma zdać sprawę.

Prezydent przywołuje następnie do porządku p. Steina, który podczas mowy p. Kramarza na wczorajszem posiedzeniu zawołał: „Aneksya Austryi byłaby rzeczą najlepszą". Prezydent wyraża ubolewanie, że podobne słowa mogły paść w parlamencie austryackim. Następnie na wczorajsze zapytanie Fressla co do tego, jakoby prezydent obstawił trybunę prezydyalną służbą, tak, iż niedopuszcza się posłów, zgłaszających się do głosu, odpowiedział prezydent, że nigdy nie żądał organów dla ochrony swej osoby, a jeżeli wczoraj jeden z posłów, chcący zapisać się do głosu, nie został dopuszczony do trybuny, działo się to bez wiedzy prezydenta, który wyraża swe ubolewanie z powodu tego faktu.

Następnie przystąpiono do porządku dziennego; rozpoczęło się 1 czytanie ustawy o podatku wódczanym. Schoenererowiec poseł Eisenkolb pierwszy zabiera głos. Po nim zabrał głos p. Zdenko Schücker, który mówi do tej chwili, godz. ½2.

Posiedzenie trwa dalej.

Wypadki w Chinach.

Berlin 13 marca. Hr. Waldersee donosi z Pekinu pod datą 11 marca: W potyczce stoczonej na zachód od wąwozu Antsuling, został po stronie Niemców lekko zraniony 1 żołnierz. Chińczycy uciekli zostawiwszy na pobojowisku 250 zabitych i 4 armaty szybko-strzałowe.

NADESŁANE.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona na siebie żadnej odpowiedzialności.

Lwów 13 marca. (Z izby handlowej).

Obliczenie w walucie koronowej.

Akcye za 100 K.: Kolej gal. Karola Ludwika po 420 Koron 426·00 do 435·00, Kolej Lwowsko-Czern.-Jaska po 400 kor. 547.00 do 556.00. Banku hipotecznego po 400 kor. 610.00 do 620.—. Akcye garbarni w Rzeszowie po 400 kor. —·— do 150·—. Tow. budowy wagonów w Sanoku po 500 koron 400·— do 410.—. Banku dla hanflu i przemysłu po 40 k. 354.— do 364.—.

Listy zastawne za sztukę: Banku hipot. galic 5 proc. los. w 50 lat. z 10 proc. prem. 109·50 do 000·00 4 i pół proc. los. w 50 lat 98·00 do 98·70, 4 proc. los. w 60 lat 90.00 do 90·70. Banku kraj. 4 i pół proc. los w 51 lat 98.70 do 99.40. Banku kraj. 4 proc. los w 57 lat 92·— do 92·70. — Tow. kred. gal. ziemskie 4 proc. (I emisya) 92·00 do 92·70, 4 proc. los w 41 i pół latach 98.00 do 98.70, 4 proc. los w 56 lat 91·00 do 91.70.

Obligi za sztukę: Gal. fund. propinacyjnego 4 prc. 95·70 do 96·40. Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 100·50 do —·—. Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 101·30 do 102·00. Kolejowe lokalne Banku krajowego 4 procentowe po 200 koron 92·00 do 92·70. Pożyczki kraj. z r. 1873 6 proc. 100·00 do —·—. 4 proc. z 1893 r. 92.50 do 93·20, miasta Lwowa 4 proc. po 200 koron 87·00 do 87·70, 4½% po 200 koron 97·25 do 97·95.

Monety. Dukat cesarski 11·27 do 11·45. Napoleondor 19·00 do 19·25. Rubel rosyjski papierowy 252·50 do 254.70. 100 marek niemieckich 117·20 do 117·70.

Wiedeń 13 marca. (Giełda towarowa). Cukier (słabo) 23·45. Nafta galicyjska bez zmiany. Spirytus (silnie) 40·80.

Berlin 13 marca. (Zamknięcie giełdy). (Podług obliczenia procentowego). Banknoty austryackie 85·15. Spirytus 44·20.

Paryż 13 marca. (Zamknięcie giełdy). Trzyprocentowa renta 102·32. Mąka („Fleur de Paris") 23·65.

Frankfurt 13 marca. (Giełda zagraniczna). Kredyty austryackie 220·75. Koleje państwowe 147·25. Alpiny 000·00. Disconto 000·00. Laura 204·00.

Wiedeń 13 marca. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i po 50 klg.). Pszenica na wiosnę 7·80—7·81, na maj-czerwiec 7.87—7·88, na jesień 7·99—8·00; żyto na wiosnę 7·85—7·86, na maj-czerwiec 7·80—7·81, na jesień 7·08—7·10; kukurudza na maj-czerwiec 5·85—5·86, na czerwiec-lipiec 0·00—0·00, na lipiec-sierpień 5·56—5·57; owies na wiosnę 6·59—6·60, na maj-czerwiec 0·00—0·00, na jesień. Rzepak na sierpień-wrzesień 0·00—0·00. Olej rzepakowy na kwiecień-maj 0·00—0·00. Tendencya: spokojna. Pogoda: pochmurno.

Budapeszt 13 marca. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i po 50 klg.). Pszenica na kwiecień 7·57—7·58, na październik 7·67—7·68; żyto na kwiecień 7·47—7·48, na październik 6·67—6·68; owies na kwiecień 6·20—6·21; kukurudza na maj 5·15—5·16, na lipiec 5·45—5·46. Rzepak na sierpień 12·50—12·60. Oferty na pszenicę: dostateczne. Chęć kupna mierna. Tendencya słaba. Pogoda: piękna.

44)

Prawo starszeństwa

POWIEŚĆ

Champola.

(Ciąg dalszy).

Queenie pomyślawszy naprzód o biednych narzeczonych, długo oczekujących na powrót stamtąd wybranych ich serca, przypomniała sobie następnie o żonach, towarzyszących swym mężom, odbywających wraz z nimi kampanie, narażających się na upały, febrę żółtą i spleen i poczytywała ten czyn poświęcenia, oraz odwagi za jedną z mniejszych ofiar.

— Więc pojadę z tobą! — zawołała.

Twarz Franciszka, nie umiejąca długo pozostawać smutną, rozjaśniła się.

— Spodziewałem się tego, droga Queenie — odrzekł wzruszony. — Spodziewałem się tego po tobie, nawet więcej, o czem nie wiesz jeszcze.

Zawahał się, lecz po chwili rzekł:

— Mam wyjechać za trzy tygodnie, rozstać się na całe lata i odjadę z rozpaczą, jeżeli pozostawię cię tutaj, lub szczęśliwszy niż zasłużyłem na to, jeżeli uwiozę ze sobą... mą żoną. Czy odrzucisz to szczęście dlatego, że zawcześnie nadchodzi?

Pośpiech ten zmieszał ją nieco, ale zastanowiwszy się przez chwilę, powiedziała sobie, że ponieważ zobowiązała się już, to z jakiego powodu ma ją przestraszyć wcześniejsze, niż spodziewała się, dotrzymanie słowa?

Tyle wycierpiała niepotrzebnie przez tych kilka miesięcy oczekiwania i rozstania, że po co ma się narażać może na całe lata jeszcze większych cierpień?

— Pragnę tego, czego i ty pragniesz, Franciszku, ale...

Podziękował jej na klęczkach.

— Ale — dokończyła — czyż to możliwe?

I on, rozważywszy trudności, ostygł nieco w zapale.

— Wiem, że to rzecz bardzo trudna — szepnął — ale jakoś poradzimy na wszystko.

Oczekujące ich trudności przypomniały im ciotkę Kiddy, zdala przysłuchującą się ich rozmowie i zapewne oczekującą na to przypomnienie.

— Ponieważ nie mogę widzieć się z Walterem, więc napiszę do niego — zaproponował Franciszek.

— A ja rozmówię się z Teresą. Ostatecznie musi się ona zgodzić — dodała Queenie.

— Zróbcie tak — zakonkludowała ciotka Kiddy. — Uprzedźcie ich. Następnego dnia załatwi się sprawę na probostwie i za tydzień Franciszek będzie mógł wyjechać.

Nieprzyzwyczajeni do prześladowania, chcieli walczyć jeszcze.

— To niegodziwość! — zawołała Queenie. — Udam się ze skargą do mej macochy, do twego wuja.

— A ja do mego jenerała, a w razie potrzeby do ministra — oświadczył Franciszek.

— Którzy nie zechcą nawet słuchać was — wtrąciła ciotka Kiddy. — Co może — znaczyć wasza prośba w porównaniu z wpływami lorda i lady Chartran?

Był to argument tak ważny, że Franciszek i Queenie umilkli.

— Jesteście naiwni — rzekła, podchodząc do nich. — Po co macie wzywać innych na sędziów waszego losu? — Nie żądajcie niczego, nic nie mówcie nikomu, wyjedźcie stąd i pobierzcie się.

— Nie śmiałem proponować jej tego — mruknął Franciszek.

— Dlaczego? — zapytała mistress Kiddy. — Nie należy szczęścia swego składać w ręce innych, zwłaszcza bogatych, potężnych despotów! Należy wystrzegać się ich i ufać tylko sobie. Co nas może obchodzić uraza lub potępienie osób obojętnych, skoro jesteśmy szczęśliwymi?

Wydawało się rzeczą niemożliwą do uwierzenia, ażeby ta stara, przezorna, chciwa i ambitna kobieta mogła wygłosić podobne zasady; wszelako ta treść doświadczenia całego jej życia, zgodna z usposobieniem serc młodych, przemogła ostatnie skrupuły Franciszka i Queenie.

Ale wysiłek, jaki zadała sobie ciotka Kiddy, ażeby przezwyciężyć swą skrytość i otworzyć raz swe usta i duszę, uniósł ją jeszcze dalej.

Jej pochylona postać wyprostowała się, twarz zarumieniła się, tracąc na chwilę ślady przedwczesnej starości, siła młodości i namiętność ożywiły jej ton mowy, jak zniszczone struny starego instrumentu, z których potężna gra wydobyła jeszcze kilka dźwięków.

— Któżby mógł o tem mówić, jeśli nie ja jedna? Wiadomo wam, co uczyniłam dla nich, ale nie wiecie, ile doznałam upokorzeń, prześladowania i nędzy. Oburzałam się, pogardzałam ludźmi, lecz nigdy nie żałowałam tego, co uczyniłam. Szczęścia doznałam tylko od mego męża. Czemże ja byłam tutaj zanim poznałam go? Opuszczoną, podrzędną, tolerowaną, znoszoną przez litość. Gdy tymczasem tam, przy nim, w ubogiem mieszkaniu, w którem pracą zarabialiśmy na chleb, byłam u siebie, byłam kochaną i szczęśliwą. Nawet po jego śmierci, gdym go opłakiwała, byłam szczęśliwszą, niż gdybym go nie znała wcale. Został mi syn...

Wstrzymała się, prawdopodobnie z braku sił.

Był to jęk miłości i cierpienia, wzruszający każdego, jęk serca kobiety i matki.

W tej chwili wszystkie śmieszności ciotki Kiddy zatarły się w pamięci słuchających; wydawała się szlachetną, wzniosłą, prawie piękną, a raczej byłaby taką, gdyby w słowach jej nie dźwięczał ton goryczy, gwałtowność rasy saksońskiej, bunt ducha niepodległego, przestraszający łagodne dusze Franciszka i Queenie, chylące się ku katolicyzmowi i Francyi.

— Ach! biedna ciotka Kiddy! — zawołali oboje.

Ujęli jej ręce, lecz odtrąciła ich i mówiła dalej gniewnie:

— Nie litujcie się nademną; lecz wierzcie mi i nim wyrzekniecie się swego szczęścia, namyślcie się dobrze.

Instynktownie usłuchali jej rady.

Zamyślili się, gdy w tem rozległ się dźwięk dzwonu, zapowiadający obiad za kwadrans.

Franciszek powstał.

— Muszę już jechać — rzekł. — Cóż Queenie, jesteś zdecydowana?

Myślała o tych, z którymi musiałaby pozostać, o Teresie i Stefanie, swych prześladowcach, o swem życiu zwichniętem i narażonem na niebezpieczeństwa.

Byłoby szaleństwem dla takiej przyszłości poświęcać jedyną szansę szczęścia!

— Nie mogę przebywać tu dłużej — odrzekła.

Poczem opowiedziała ostatnie swe spotkanie ze Stefanem.

Zaślepiona, widząc ciotkę Kiddy tak życzliwą ich sprawie, zapomniała, że mówi przed matką; mówiła o Stefanie swobodnie, jak gdyby nie był jej synem.

Ale matka podzielała jej oburzenie.

— Nieszczęśliwy — mruknęła.

— Nikczemnik! — zawołał Franciszek. — Nie pozostawię jej tutaj ani na jeden dzień dłużej nad czas potrzebny — dodał oburzony. — To nietylko szczęście, lecz i obowiązek mój uzyskać jak najprędzej prawo opieki nad nią. Ciociu Kiddy, jak należy to uczynić?

Choć zdecydowani byli na wszystko, nie potrafili jednak ułożyć planu praktycznego i zwrócili się do ciotki Kiddy, prawdopodobnie oddawna oczekującej na tę chwilę, gdyż bez namysłu wyraziła go zwięźle, jasno, jak gdyby po głębokiem przestudyowaniu go.

— Jedź do Londynu — rzekła, zwracając się do Franciszka — gdzie wystarasz się o dyspensę, następnie porozumiesz się z pastorem Finchem, o którym ci już mówiłam; on zgodzi się. Najlepiej wybrać dzień czwartkowy. W wigilię tego dnia powiesz wszystko pani Brent, która naprzód rozczuli się i następnie nie będzie miała czasu zastanowić się, gdyż wieczorem nadjedzie Queenie.

— Ale czy pozwolą mi wyjechać? — zapytała zaniepokojona dziewczyna.

— Powiesz, że jedziesz pożegnać się z panią Brent przed jej wyjazdem do Cannes. Będzie to powód bardzo naturalny. Ale pamiętaj, nikt nie powinien wiedzieć, że widziałaś się z Franciszkiem i że wiesz o nakazanym mu wyjeździe do Indyj. Zresztą nie będą mieli czasu na domysły, gdyż w czwartek weźmiesz ślub.

— W czwartek już weźmiemy ślub...

Byli jak udurzeni i powstali machinalnie, gdy wtem dzwon obiadowy dał sygnał drugi.

— Więc sprawa skończona — zakonkludowała ciotka Kiddy.

Teraz chodziło o to, ażeby nie wywołać podejrzenia.

Queenie powinna zjawić się o godzinie zwykłej, nie było więc czasu na dyskusyę.

Zresztą o czem tu dyskutować, skoro nie było innego wyjścia i innego sposobu urzeczywistnienia ich planów?

— Więc w środę — rzekł Franciszek, rozstając się z kobietami.

— W środę — powtórzyła Queenie.

. . . .

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny: **Ludwik Masłowski.** Papier z fabryki Czerlańskiej. Z drukarni E. Winiarza.